Trzebuńskie

legendy, podania, anegdoty i bajania

MAŁOPOLSKA

Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym
Województwa Małopolskiego

Trzebunia 2022

Tradycja jest Twoją godnością, Twoją dumą,
Twojem szlachectwem, synu chłopski.
Dbaj o zachowanie spuścizny Twych ojców;
rodzimej sztuki, rodzimej kultury

Władysław Orkan

Trzebuńskie

legendy, podania, anegdoty i bajania

zebrał i opracował Andrzej Oskwarek

ilustrował Janusz Soroczyński

Trzebunia 2022

Trzebuńskie legendy, podania, anegdoty
© Andrzej Oskwarek 2022, © Janusz Soroczyński 2022

Zebrał i opracował Andrzej Oskwarek

Ilustracje Janusz Soroczyński

Wydawca:

Talent
Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych

ISBN 978-83-64322-50-1

Drukarnia Rafael,
30-523 Kraków
ul. Dąbrowskiego 16
Redakcja

Redakcja techniczna, adiustacja, skład: Anna Witalis–Zdrzenicka
Projekt: Jan Zdrzenicki
Druk: Drukarnia Rafael. 30-523 Kraków, ul. Dąbrowskiego 16

MAŁOPOLSKA

Związek Podhalan w Polsce
Oddział Górali Kliszczackich w Trzebuni

GOKiS Pcim

Wstęp

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze na świecie nie było.... Netfliksa, Amazona, HBO, a nawet radia – ludzie spotykali się przy wspólnych zajęciach i opowiadali sobie rozmaite historie. Jak w kultowych serialach, realia przeplatały sie z fantastycznymi wyobrażeniami, sceny mrożące krew w żyłach z wywołującymi salwy śmiechu, a między nimi przewijały się obrazy jak chleb powszedni – znajome i swojskie.

Fantasy nie urodziło się w Ameryce ani Skandynawii, nie pojawiło się na świecie dopiero w XIX wieku, no chyba jako gatunek literacki. Ale idea i duch fantastyki towarzyszy nam, ludziom od najdawniejszych pokoleń. Pomaga w oswajaniu strachu (np. gdy prosty chłop diabła wystrychnie na dudka, przechytrzy płanetnika, czy boginkę), spełnia marzenia, pomaga uporać się z niesprawiedliwością, bo w rzeczywistości ludowych wierzeń dobro wcześniej czy później musi zwyciężyć – choćby z zaświatów.

Nasze rodzime podania, legendy i opowieści rządzą się tymi samymi prawami, co światy Tolkiena, Ursuli le Guin, Martina, Rothfussa, czy Sapkowskiego. Nawiasem mówiąc, wreszcie w tym światowym panteonie mamy wybitnego Polaka, w którego powieściach odnajdujemy także rodzimą mitologię i wierzenia. Słynne światy powieści fantasy wybitni autorzy z dużym talentem stworzyli z połączenia realnego świata i ludowych wierzeń, które otoczyli swoją wyobraźnią i bogactwem literackich zabiegów. Mogli to zrobić, bo znali te podania, legendy, wierzenia, znali te bestiariusze. Przez pokolenia w kronikach, zbiorach, a nawet baśniach autorzy, których nazwisk dziś już się nie pamięta, spisywali

je z dobrą wiarą, że choć fantastyczne, to przecież ważne. Niby to dlaczego bajania są takie ważne? Ano dlatego, że opowiadają o nas samych. O naszych dążeniach, aspiracjach, standardach moralnych, marzeniach, dokumentują nasze rozumienie świata, w którym żyjemy i tego, który naszym zdaniem jest idealny. Stosuje się to tak samo do opowieści celtyckich, skandynawskich, jak i do kliszczackich.

Taka właśnie jest ta książeczka – złożona z podań, legend i bajań zebranych przez Andrzeja Oskwarka z różnych źródeł. Ukazuje wszystkie te elementy, właściwe światom fantasy, ale w rodzimych realiach góralszczyzny kliszczackiej. Bardzo bliskie, bo żywe jeszcze dwa pokolenia temu, a zarazem zapomniane, bo jeszcze nie tak dawno ludzie wstydzili się „godki", „ciemnoty" dawnych wierzeń, zacofania... Minęło pokolenie i coraz mniej ludzi je pamięta. I jak to często bywa, dopiero kiedy coś tracimy, zaczynamy to doceniać.

Anna Witalis-Zdrzenicka

Podziękowania

Serdeczne podziękowania składam wszystkim,
którzy przyczynili się do powstania publikacji, a w szczególności:
Waldemarowi Mosórowi i Robertowi Bylicy.
Wyrazy wdzięczności kieruję również do
Janiny Kiełbus, Ewy Wójcik i Marka Kiełbusa
za wyrażenie zgody na publikację anegdot Antoniego Kiełbusa.

Andrzej Oskwarek

Powstanie wsi Trzebunia

W 1504 król Aleksander Jagiellończyk przekazał przywilej lokowania wsi *Trzebunya*, Stanisławowi i Mikołajowi Lanckorońskim. Pewne jest jednak, że wieś istniała przed 1504 rokiem, ponieważ w innych historycznych dokumentach wymieniano osady o nazwie zbliżonej do obecnej. I tak w akcie lokacji wsi Stróży z 1410 wspomniano o osadzie o nazwie *Strzebuna*. Później wymieniana jest również w inwentarzu dóbr starostwa lanckorońskiego z 1443 r.jako *Trzebunya* a następnie w 1446 r. jako *Thrzebinia*.

I tyle z faktów historycznych. Choć są one prawdziwe, to chciałoby się doszukać czegoś spektakularnego i fantastycznego u początku powstania naszej ukochanej wsi Trzebuni. Oficjalne źródła historyczne nie podają miłosnej historii, która według podania stanowiła zalążek i początek osadnictwa w dolinie Trzebunki.

Dawno, dawno i już nikt nie pamięta kiedy, żył w Lanckoronie na zamku młodzieniec, syn Starosty, właściciela zamku i dóbr lanckorońskich. Młodzieniec długo był kawalerem, ale w końcu poznał dziewczynę, w której zakochał się ze wzajemnością. Ich miłowanie trwało szczęśliwie do czasu, kiedy młodzieniec oświadczył swemu bogatemu ojcu, że chce pojąć za żonę swoją wybrankę.

Starosta jednak nie miał zamiaru wyrazić na to zgody, a tym bardziej pobłogosławić młodym na wspólny żywot, najpewniej dlatego, że ukochana syna pochodziła z ubogiej rodziny, która nie mogła wnieść w to małżeństwo ani odpowiedniego posagu, ani koligacji.

Gdy wnoszone prośby były bezskuteczne, narzeczeni postanowili uciec po kryjomu, gdzieś w obce strony. Pod osłoną nocy opuścili Lanckoronę i udali się na południe w góry, gdzie jeszcze prawie nikt nie mieszkał. Uciekinierzy aż tak daleko nie zaszli, bo tylko w dolinę rzeki, którą później nazwano Trzebunką. Dolina Trzebunki, te góry, lasy, strumienie i cała przyroda zachwyciły kochanków, którzy postanowili tu założyć osadę. Widać surowe warunki i brak cywilizacji nie przeszkadza, gdy ludzie się kochają i chcą być razem.

Najstarsi ludzie powiadają, że swoje domostwo założyli w miejscu, gdzie rosła stara i gruba sosna, a dziś znajduję się tam rola Jarosowa. Tak więc trzebunianie to potomkowie zakochanej pary, która wbrew przeciwnościom losu, uparcie dążyła do szczęścia....

Legenda opracowana na podstawie podania opowiedzianego
przez Annę Kotyrbę, (Trzebunia 146),
które przekazał jej Ojciec, a spisał Jan Oskwarek,

Informacje historyczne wg:
Piotr Sadowski, *Gmina Pcim. Monografia geograficzno– historyczna*, Pcim 2003, s. 151.

Trzy Banie

Etymolodzy nie zajmowali się pochodzeniem nazwy wsi Trzebunia, toteż mieszkańcy sami musieli zatroszczyć się o logiczne wytłumaczenie jej genezy. Nie chcieli przecież być gorsi, niźli mieszkańcy Krakowa czy Warszawy, bo ci dobrze znają legendy, które tłumaczą nazwy tych miast.

Obie teorie, dotyczące prawdopodobieństwa powstania nazwy Trzebunia, to połączenie faktów historycznych z podobieństwem i znaczeniem wyrazów. I tak najczęściej podawane jest, że *Trzebunia* pochodzi od przekształcenia słowa *trzebić* – oczywiście lasy – jako że dolinę w paśmie Babicy i Koskowej Góry w XIV w i wcześniej porastał prastary Czarny Las, w który zapuszczali się na łowy królowie i bartnicy hodujący pszczoły. Później pojawili się pierwsi osadnicy (*zarębnicy*) – drwale, którzy zajmowali się wyrębem lasu i przetwórstwem drewna na beczki, gonty, węgiel drzewny, smołę itd. I tak trzebili i trzebili lasy, żeby wyrwać również dla siebie kawałek ziemi, na którym mogli wypasać owce, a później uprawiać rolę.

Gdy podzielimy nazwę *Trzebunia* na pół, wyjdzie nam *Trzeb-Unia*, więc osadnicy trzebili, a później może unię zawarli z właścicielem ziemi, że osiądą tu na stałe na specjalnych warunkach...?

Inne podanie głosi, że pod rolą Sularzową znajdowały się *trzy banie*, możliwe że mowa tutaj o trzech piecach hutniczych do wytopu szkła. I tak początkowo nazwali wieś *Trzy-bania*, co potem przekształciło się na *Trzebunia*.

Możliwe też, że chodziło o trzy *banie* w znaczeniu węgierskim, czyli kopalnie. Kopalnia kamienia znajdowała się na roli Krzystkowej, ale gdzie pozostałe?

Na roli Sularzowej jest las zwany Bania, więc może i tam były kopalnie cennych kruszców albo surowców do produkcji szkła. Pewnie więc nigdy nie ustalimy, jak to naprawdę z tą nazwą było, ale przynajmniej mamy dwa logiczne wytłumaczenia i każdy może wybrać taką wersję, która mu najbardziej odpowiada.

Huty Szkła w XV i XVI w. sławiły Trzebunię na całą Polskę i choć niewiele na ten temat dziś wiadomo, warto przedstawić, co ustalili miłośnicy historii i naukowcy.

Jan Oskwarek spisał opowiadanie Marii Ostafin (Trzebunia 310):

Ta sama osoba [Maria Ostafin – przyp. AO] *mawiała mi, że ojciec jej mówił, słysząc to od swojego ojca, czyli jej dziadka, że niegdyś były tu trzy banie, czyli huty. Jedna była na roli Sularzowej. Do dziś miejsce to zwie się Banią. Kiedy raz zawaliła się owa bania i obsunęła się, to wystawały z niej takie drzewa,że parą wołów było co jednego ciągnąć. Druga bania miała znajdować się na roli Dziobkowej. O hucie tej wspominała jeszcze Magdalena Rak, mieszkanka tej roli, która zmarła w 1940 r., mając 93 lata. Huta ta miała się znajdować nad domami pod lasem. Trzecia huta była podobno w środku wsi, na roli Bylicowej lub Wnękowej.*

Kolejny informator Jana Oskwarka – Jan Orawin (Trzebunia 331) potwierdził istnienie hut na roli Kuligowej nad domami koło potoku i dodał: *Wykopywano tam i wyorywano jakieś nieforemne bryłki szklane jeszcze niedawno temu'.*

Andrzej Wrobisz w książce„Szkło w Polsce od IV do XVII wieku" poświęcił obszerne fragmenty o hucie trzebuńskiej:

(...) *Kilka hut szkła zgrupowało się wokół Myślenic i Dobczyc. Najważniejsza z nich i posiadająca najdłuższą historię — huta we wsi Trzebuni, znana historykom pod niewłaściwą nazwą huty myślenickiej, leżała na terytorium*

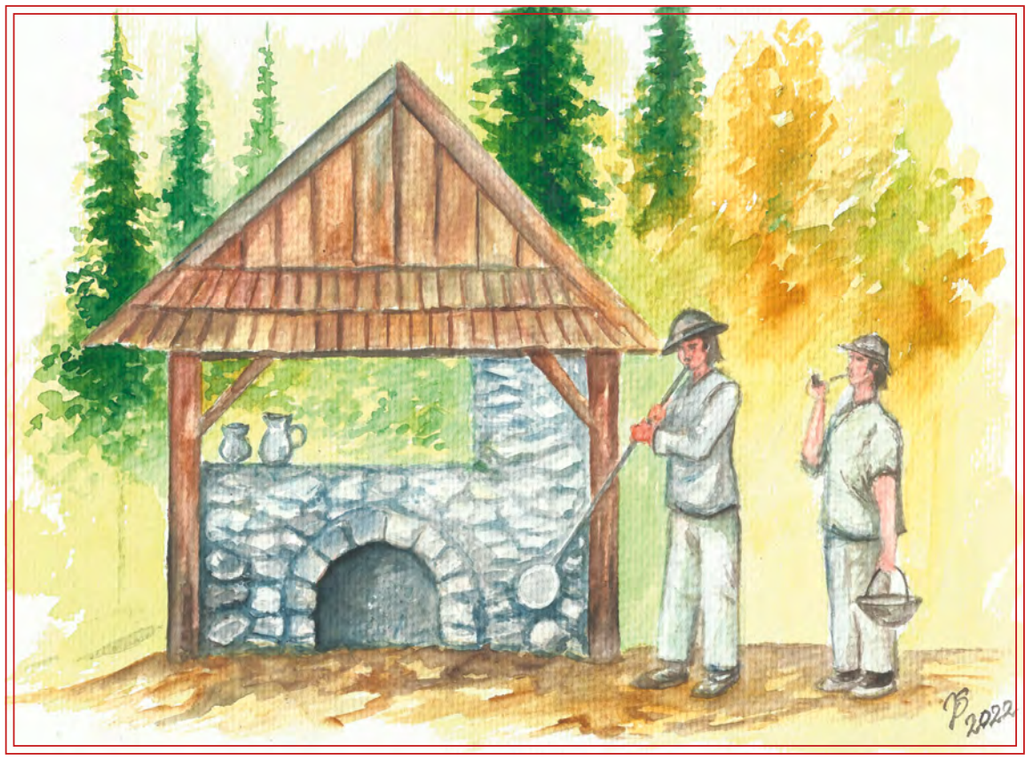

starostwa lanckorońskiego, ok. 8 km na zach. od Myślenic. Działała ona co najmniej półtora wieku, poczynając od połowy XV w., lub może nawet jeszcze wcześniej. Daty jej założenia nie znamy, a pierwsza o niej wzmianka pochodzi z 1452 r. i mówi o sprzedaży huty przez szklarza Marcina niejakiemu Szymonowi ze Stróży za sumę 5 grzywien. Huta musiała więc istnieć wcześniej. Charakterystyczna jest nazwa wsi Trzebunia, przy której umieszczona była huta. Nazwa ta wiąże się z trzebieżą lasów, przypuszczalnie w związku z zaopatrywaniem

huty w paliwo. Skoro więc huta zużyła już tyle drewna, że na wykarczowanych terenach mogła powstać wieś Trzebunia, początki produkcji szkła w tej okolicy musiały sięgać daleko wstecz. O hucie w Trzebuni mamy wiele wiadomości z drugiej połowy XV w. i z XVI w.

W 1479 r. była ona nadal w rękach Szymona ze Stróży. W 1522 r. właścicielem był szklarz Jakub. Od 1554 r. aż do początku XVII w. występuje jako właściciel tej huty Jan Malina. Huta w Trzebuni była też opisana w lustracji z 1564 r. Szkło z tej huty było w XV i XVI w. sprzedawane w Krakowie i zakupywane przez dwór królewski. Ze wszystkich tych wzmianek należałoby wnioskować, że „huta myślenicka" prosperowała znakomicie. Tymczasem na początku XVII w. huta upadła. W 1612 r. zapisano w księgach grodzkich, iż „ab aliquot annis desolata est nec ullum artificium ibidem ob defectum artificum, qui mortui sunt, exercetur"[łac. od kilku lat jest opustoszała i nie uprawia się tam sztuki z powodu braku rzemieślników, którzy pomarli – red.]. *Jednak w 1646 r. w inwentarzu starostwa lanckorońskiego znalazł się znowu opis huty szkła, wprawdzie zlokalizowanej we wsi Więciórka, a nie w Trzebuni, więc może innej, nowo założonej, chociaż bliskie sąsiedztwo Więciórki i Trzebuni każe się dopatrywać kontynuacji produkcji szkła wciąż w tym samym miejscu. Z inwentarza z 1646 r., wymieniającego liczne dochody z huty (daniny w wyrobach szklanych), wynikałoby, iż huta ta wówczas funkcjonowała i prowadziła produkcję na dużą skalę. Jej właścicielami nie byli już wtedy Malinowie, aczkolwiek kmiecie tego nazwiska mieszkali jeszcze wówczas w Trzebuni*

(...) *I tu więc mamy do czynienia z połączeniem kolonizacji wiejskiej z zakładaniem hut szkła oraz z łączeniem funkcji, uprawnień i obowiązków sołtysa-zasadźcy i hutnika, przy czym wśród uposażenia wyróżnia się prawo do korzystania z lasu na użytek huty, a wśród obowiązków świadczenia w naturze w postaci wyrobów szklarskich* (...) *Zapewne w podobny sposób doszło do założenia huty szklanej i wsi Trzebuni w starostwie lanckorońskim koło Myślenic.*

Nie zachował się przywilej lokacyjny i nie znamy daty założenia huty ani okoliczności powstania wsi. W połowie XV w. (pierwsza wzmianka w 1452 r.) wieś ta już istniała i funkcjonowała przy niej huta. Być może, że wieś i hutę założono znacznie wcześniej, w 1. poł. XV w. lub nawet jeszcze w XIV w. O właścicielach tej huty w XV i w 1. poł. XVI w. nie potrafimy powiedzieć nic bliższego, znamy tylko ich imiona. Natomiast o Janie Manlinie, który występuje jako właściciel huty od 1554 r., wiemy, że był równocześnie sołtysem wsi Trzebuni. Dopiero w 1594 r. Mikołaj Zebrzydowski, starosta lanckoroński, wykupił z jego rąk sołectwo za zgodą króla (z faktem tym zapewne należy wiązać rychły upadek huty), najprawdopodobniej więc i poprzednicy Jana Maliny byli równocześnie hutnikami i sołtysami wsi.

Andrzej Wyrobisz *Szkło w Polsce od XIV do XVII wieku*,
Ossoloneum, Warszawa 1968 r., s. 22, 62, 63

W hucie trzebuńskiej produkowano tysiące szyb małych i dużych, które chętnie kupowali szklarze z Krakowa i oprawiane ołowiem, trafiały do okien krakowskich kościołów a może i na Wawel... Z rejestrów poborowych wiemy, że produkowano *flaszki, szklanki i kieliszki* oraz *szkło malowane i rysowane*. W tamtych czasach i Mikołaj Rej pijał z myślenickiej (czyt. trzebuńskiej) szklanicy na dworze w Myślenicach u Spytka Jordana, o czym wspomniał w swoim słynnym utworze „Zwierciadło": *Abo także, jeśli z malowanej albo z prostej myślimickiej się śklenice napiło, bo mu dosyć na tym, iż się napiło.*

Wielka powódź

Dawno temu, prawdopodobnie w XVII w. na roli Łatasowej, w miejscu, gdzie teraz znajduje się drewniany krzyż, stał modrzewiowy i kryty gontem kościół pod wezwaniem św. Andrzeja. To tutaj proboszcz z Sułkowic przyjeżdżał i sprawował posługę duszpasterską dla mieszkańców Trzebuni, którzy należeli wtedy do jego parafii. W sierpniu 1635 r., kiedy większość trzebunian była na odpuście w Kalwarii Zebrzydowskiej, nad Trzebunię nadciągnęły straszne burzowe chmury... Tam też dziad kalwaryjski z niepokojem obserwował czarne chmury, szalejące grzmoty i błyskawice nad Trzebunią. Prorokował straszny los wsi....

I rzeczywiście, kiedy pielgrzymi wrócili z Kalwarii, zobaczyli przerażający widok zniszczeń, których dokonała – na co dzień mała i spokojna – rzeka Trzebunka. Oberwanie chmury spowodowało, iż rzeka, zasilana przez strome górskie potoki, nabrała ogromnego pędu i tak wezbrała, że niszczyła wszystko, co napotkała na swej drodze. Podmyła stojący na stromym zboczu drewniany kościółek, a ten, związany mocno na węgłach, zsunął się do wody i płynął razem z dzwonnicą w dół rzeki, niczym okręt podczas sztormu. Nabrał ogromnej szybkości i niedaleko, bo na roli Balinkowej roztrzaskał się na stuletniej topoli, która rosła pochylona nad brzegiem rzeki.

Wszystkie elementy wyposażenia zabrała woda i jedynie obraz Matki Boskiej cudem ocalał, zawieszony na topoli.... Dzwonnica z dzwonami, ambona, chrzcielnica, kropielnica, krzyże, obrazy i figury Matki Bożej – wszystko

popłynęło w dół rzeki. Kiedy woda ucichła, zdruzgotani mieszkańcy zaczęli szukać i odnajdywać fragmenty kościoła i wyposażenia. Na roli Kuligowej niedaleko koryta rzeki znaleźli kropielnicę. Gdy tylko wyrwali ją z mułu i kamieni, w miejscu tym cudownie wytrysnęło źródło i do dziś wypływa tam czysta źródlana woda. Jeden krzyż spłynął wodą do Stróży, a tam miejscowi przywłaszczyli go sobie i umieścili w przydrożnej kapliczce.

Dzwony trzebuńskie zabrała rzeka Raba aż do wsi Droginia. Tam chłopcy, pasący bydło nad rzeką, zauważyli że podczas sumy w niedzielę stale coś dzwoni w rzece. Aż pewnego razu kobieta, która prała bieliznę nad Rabą, zauważyła długie liny wystające z dna. Sama nie mogła wyciągnąć ich z wody, więc zawołała chłopów do pomocy. Niemałym wysiłkiem wyszarpali dzwony z wody a potem powiesili je na własnej dzwonnicy, choć ponoć wiedzieli, że są z Trzebuni. Skradzione dzwony tak żałośnie i tęskno dzwoniły, że dało się słyszeć w ich brzmieniu wołanie: *do Trzebuni, do Trzebuni, do Trzebuni...*

Cudem ocalony obraz Matki Bożej, który zawisł na drzewie podczas powodzi, ks. proboszcz nakazał zawieźć do kościoła w Sułkowicach. Posłuszni parafianie zaprzęgli parę wołów do wozu, na który z wielkim bólem załadowali obraz i ruszyli w kierunku Trzebuńskiej Góry. Nie zajechali zbyt daleko, gdyż już na roli Malinowej, w miejscu zwanym„Skawinkami", woły stanęły jak wryte i nie chciały iść dalej. Dopięli więc drugą parę wołów, ale i to nie pomogło, bo zwierzęta ani drgnęły. Nic nie wskórał również bat i krzyk furmana. To nadzwyczajne zdarzenie pobożni trzebunianie odczytali jako Boży znak, który nakazuje pozostawienie obrazu Matki Bożej w ich wsi i wybudowanie nowego kościoła, co z radością uczynili.

W miejscu gdzie woły stanęły, postawiono krzyż żelazny na kamiennym cokole, który stoi do dzisiaj.

To najbardziej znana trzebuńska legenda, podawana w różnych wersjach.
Zabranie kościółka przez wodę prawdopodobnie jest faktem,
lecz brak pewnych historycznych zapisów.
Historyk Piotr Sadowski datuje wielką powódź na 1635 r.
Po niej wybudowano kolejny, już większy, drewniany kościół,
a następnie w 1773 r. rozpoczęto budowę murowanej świątyni, która stoi do dziś.

Przedstawiona tu wersja legendy to połączenie przekazu ustnego
Agnieszki Oskwarek (Trzebunia 172) z 18 maja 1992 r., który spisał ks. Czesław Gacek,
oraz pracy maturalnej Heleny Szafraniec pt, *Życie Kulturalne Trzebuni* z kwietnia 1975 r.

Kalwaria Trzebuńska

W 1602 r. Mikołaj Zebrzydowski, słynący ze szczodrości oraz pobożności, ufundował klasztor i kalwarię – znane dziś sanktuarium pasyjno-maryjne w Kalwarii Zebrzydowskiej. Jako że był starostą lanckorońskim i właścicielem kilkunastu wsi, w tym Trzebuni, szukał na swoich włościach dogodnego miejsca na zbudowanie kalwarii,na wzór drogi Męki Pańskiej w Jerozolimie. Idealnym miejscem wydała mu się Trzebunia i jak głoszą podania, tu zamierzał ją zbudować.

Mikołaj Zebrzydowski podziwiał walory krajobrazowe Trzebuni; chciał również docenić wiernie oddany i pobożny lud tam osiadły. Oczami wyobraźni widział klasztor na szczycie góry, na której obecnie znajduje się rola Orawinowa, a po południowym zboczu rozsiane miały zostać kaplice dróżek Męki Pańskiej i dróżek Matki Boskiej. Rzeka Trzebunka miała stać się Cedronem, nad którym zbudowano by przepiękne mosty. Tzw. Wierch Kalwarii, czyli Kościół Ukrzyżowania, miał być zbudowany na wyniosłym szczycie góry Kotoń. Pod ważniejsze kaplice wyznaczone były nie tylko miejsca, lecz nagromadzono stosy kamieni jako budulec.

Wszystkie te zamierzenia rozpłynęły się i zmieniły z powodu snu Doroty, żony Mikołaja Zebrzydowskiego. Otóż pewnej nocy we śnie widziała

promieniujący krzyż na górze Żar. Góra ta znajduje się na zachód od zamku lanckorońskiego i jest stamtąd dobrze widoczna. Dorota opowiedziała swój sen mężowi i oboje postanowili postawić tam krzyż, a później w miejscu krzyża – Kościół Ukrzyżowania. Opiekę nad kościołem powierzono zakonnikom, dla których obok kościoła wybudowano erem, w którym mieli stale przebywać. Mikołaj zauważył, że wzniesiony kościół na górze mógłby z powodzeniem stać się składową dróżek i stacji kalwaryjskich. I tak ostatecznie upadł plan budowy kalwarii w Trzebuni....

Nazwożone kamienie leżały przez kilkadziesiąt lat, bo nikt z chłopów nie odważył się zabierać budulca, który miał być przeznaczony na kaplice i kościoły.... Dopiero kiedy Kalwaria Zebrzydowska stała się miejscem kultu z klasztorem, zespołem kaplic i kościołów dróżkowych, położonych w malowniczym Pogórzu Makowskim, uznali trzebunianie, że kamienie nie przydadzą się już staroście lanckorońskiemu. Użyli więc budulca na fundamenty domów i budowę piwnic.

Najwyraźniej trzebunianie nie obrazili się na Mikołaja Zebrzydowskiego, że im Kalwarię obiecał, a potem zrezygnował. Od setek lat tłumnie pielgrzymują do Kalwarii kilka razy w roku. Na sierpniowe święto Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny pątnikom na dróżkach zawsze towarzyszy trzebuńska orkiestra dęta „Orzeł", która na procesji Zaśnięcia i Wniebowzięcia od wieków, jako druga orkiestra przy figurze Matki Boskiej maszeruje. Aby orkiestra trzebuńska blisko Matki Boskiej grała, miał nakazać bernardynom sam Mikołaj Zebrzydowski, aby wynagrodzić niespełnioną obietnicę budowy Kalwarii Trzebuńskiej.

Podania Franciszka Oskwarka (Trzebunia 318) i innych mieszkańców Trzebuni spisane przez Jana Oskwarka

Według podania Wincentego Ostafina (Trzebunia 16), spisanego również przez Jana Oskwarka, kalwaria miała powstać na roli Balinkowej, gdzie gromadzono sterty kamieni.

Zbójnicy z góry Kotoń

Historię tę opowiadało wiele starszych osób w Trzebuni i okolicy. Dawno temu, a najpewniej w XIX w., na trzebuńskiej ziemi grasował oddział zbójników. Mieli siedzibę na stoku góry Kotoń, w jaskini na granicy Stróży i Trzebuni. Do pieczary prowadziły co najmniej trzy wejścia – jedno z Trzebuni, drugie ze Stróży i trzecie z Pcimia. No i właśnie dlatego byli nieuchwytni dla stróżów prawa. Wejścia były dobrze ukryte, otoczone gęstymi lasem i zamaskowane, tak że tylko zbójnicy i miejscowi górale wiedzieli, gdzie się one znajdują. Ubierali się jak miejscowi; nosili długie popielate górnice, guniami tutaj zwane, przepasywali się szerokimi, skórzanymi pasami, za które wkładali pistolce i długie noże. Na głowach nosili czarne kapelusze, a na nogach kierpce. Zbójowali, napadając na kupców, podróżnych, panów i każdego, kto się nadarzył, a coś cennego przy sobie miał. Sprzyjali im miejscowi ludzie, bo czasem łupami się z nimi podzielili i przed złymi panami ochronili, toteż nikt ich nie wydał.

Kiedy jednak za czasów zaborów Austriacy zaczęli chronić szlaki z Krakowa do Wiednia, Budapesztu i inne na południe, rabowanie stało się trudne i ryzykowne. Hetman zbójecki zapewne bardziej niż wcześniej obawiał się stryczka. Ofiarami zbójów stała się więc miejscowa ludność. Ginęły krowy, owce i odzież biednych górali. Wielki strach padł na całą okolicę.

Jeden z gospodarzy zwierzył się sąsiadowi, że idzie na jarmark do Myślenic sprzedać wołu. Zawistny to był sąsiad i – jak się okazało – miał kontakty ze zbójami, Informacja dotarła więc do herszta bandy i kiedy gospodarz późnym wieczorem wracał z jarmarku zboczem góry ku swojemu domowi, został napadnięty, dotkliwie pobity i obrabowany z pieniędzy, które miał ze sprzedaży. Wśród bijących go zbójników rozpoznał swojego sąsiada i kiedy tylko wydobrzał, doniósł władzom austriackim o tej napaści. Austriacy zmusili złego sąsiada do wskazania miejsca pobytu zbójników, którzy tym razem kryli się w jaskini u szczytu góry Kotoń, z której nie było innych wyjść; tylko jedno. Żołnierze otoczyli więc je i wezwali zbójników do wyjścia. Oczywiście nie chcieli się poddać, postanowiono więc zmusić ich do tego głodem. Dzień i noc czuwali żołnierze, paląc ogniska, aby pod osłoną nocy nikt żywy nie wyszedł. I kiedy minęło kilka dni, jeden zbój po drugim próbował uciekać z pieczary, ale od razu został zabity.

W ten sposób zbójcy, którzy wystąpili przeciw miejscowej ludności, dokończyli żywota w głębokiej jamie na Kotoniu. Do dziś podobno w rozpadlinach skalnych słychać jęki tych, którzy strzegą skarbów tam pochowanych. Pewnie szukał ich nawet sam Jan Oskwarek, skoro pod tym podaniem zanotował:

Z własnych kilkuletnich obserwacji omawianych tu miejsc stwierdziłem, że stok tej góry to piaskowa skała, że w jednym miejscu istotnie są łudzące ślady dużych zawalisk (...) że są w skałach prowadzące w głąb ziemi rozpadliny z których odczuwa się powiew powietrza, lub że woda spływająca leśną drożyną wpada w szczeliny skalne.

Podania wielu starszych osób z Trzebuni i Władysława Wątorka (Stróża 253)
spisane przez Jana Oskwarka

Wołosi

Na tereny starostwa lanckorońskiego, jak i w całe Karpaty, docierali osadnicy – z północy narodowości polskiej, a z południa lud zwany Wołochami. Od XIII do XVI w. pasterze wołoscy, wypierani z Siedmiogrodu najpewniej przez Turków i inne nacje, szukali dogodnych warunków do wypasu owiec, kóz i wołów, podążając po łuku Karpat ku zachodowi. Jak podają źródła historyczne, także w Trzebuni, która należała do tzw. „górnych" wsi starostwa lanckorońskiego, zaznaczyli swoją obecność.

Pierwiastek wołoski można więc skonstatować we wsi Trzebuni: było tam w roku 1564 dwóch gospodarzy, posiadających stada owiec, dochodzące do 500 sztuk. We wsi tej również już w wieku XVI znajdowała się huta szklana, w której wyrabiano nie tylko szklanice, kieliszki, flasze i szyby, ale także szkło „rysowane i malowane". Zwracamy uwagę na tę okoliczność, gdyż szklarstwo należało do umiejętności właściwych Wołochom; to też istnienie w Trzebuni huty szklanej, nie eksploatowanej przez dwór, może służyć za pośredni dowód istnienia wpływów wołoskich w tej osadzie. Pomimo jednak tych wpływów, wieś Trzebunia, założona na nowo w roku 1504, a zatem w czasie, gdy się w Sądeczczyźnie organizowały osady wołoskie, nie otrzymała prawa wołoskiego, lecz „jus magdeburgiense".

(...) Bądź co bądź na organizacyę pasterstwa w Lanckorońszczyźnie wołosi wywarli wpływ nie mały. Na czele więc pasterskiego życia stali tam „wojewodowie wołoscy", należący zapewne do rodu pochodzenia wołoskiego, którzy w swych rękach skupiali władzę sędziowską w halach i pośredniczyli pomiędzy zamkiem, a pasterzami. Z drugiej znów strony, dzięki Wołochom,

rozpowszechniła się tam umiejętność wyrabiania suchych serów, tak zwanych „wałaskich", które wówczas skupywane przez kupców, rozwożone były po kraju, dochodząc nawet do Warszawy. Sery wałaskie stanowiły część daniny górnych wsi lanckorońskich jeszcze w wieku XVII-tym. Wpływem wołoskim, sądzimy, można też wytłumaczyć tak niezwykłe u ludów lechickich idealizowanie życia pasterskiego, z jakiem spotkać się można wśród górali lanckorońskich.

(...) Najważniejszem jednak zajęciem pomocniczym w Lanckorońszczyźnie był przemysł drzewny. Szedł on w czterech kierunkach: 1) wypalanie węgla i pędzenie smoły, 2) przygotowywanie drzewa budowlanego, 3) wyrób desek, gontów i klepek bednarskich, 4) wyroby stolarskie. Wypalaniem węgla zajmowali się mieszkańcy wsi Trzebuni i Bieńkówki w wieku XVI i XVII. Węgle wywozili chłopi końmi na sprzedaż do Krakowa. W Trzebuni węglarze wypalali węgiel na swoją rękę, płacąc dworowi za ścięte drzewo stałą zapłatę, która wynosiła po 3,5 flor. za buk lub jodłę stojącą, po 2 flor. za drzewo, wyrwane przez wiatr, czyli za wykroć, wreszcie po 1 i 1/2 złotego za złomisko.

Tak napisał historyk. Zgadza się to z opowiadaniem pewnej mieszkanki z roli Hodurkowej, które zanotował Jan Oskwarek. W czasie bliżej nieokreślonym, na tejże roli, w potoku pod lasem, żył mężczyzna, który z pochodzenia był Wołochem. Obok strumienia miał „skleconą" z drewna małą chatę. Zajmował się wypalaniem węgla z drzewa bukowego (buczyny karpackiej), którego nie brakowało na stokach góry Kotoń. Żył bardzo ubogo. Według podania zjadał złapane żaby i ptactwo, a nie pogardził i serem, w którym gnieździły się robaki... Łapiąc żabę, która rechotała, mówił: *Ty kriczi i nie kriczi a ja tiebia budu jet.*

Ślady po Wołochach odnajdujemy w Trzebuni również w nazwach, np. Beskid, Groń, młaka, rynek (*runc*) lub nazwiskach Drogosz czy Tekieli.

Cytat za: Baranowski Ignacy Tadeusz, *U stóp Babiej Góry*, „Przegląd Historyczny" nr 20(1)/1916 r. s. 86, 87 i 93.

Kamieniołom

Na zboczu góry Parszywki, zwanej również Cizówką, znajduje się nieczynny już kamieniołom. W odległych czasach pozyskiwano tam kamień do podbudowy drewnianych domów, budowania piwnic, zwanych tu *grubami*, a pewnie i kościół w Trzebuni powstał z tego kamienia. Przede wszystkim jednak ów kamień nadawał się świetnie do produkcji kamieni młyńskich. Niegdyś w każdym domu znajdowały się żarna – mały młynek, na którym mielono zboże na chleb czy placki. O dobrej jakości kamienia zaświadczał Wojciech Pasternak (Trzebunia 36). Mówił: *Były tu z niego wyrabiane wielkie kamienie młyńskie, które były wywożone w różne okolice Polski, na Śląsk, na Morawy, Orawę, a na nawet na Węgry.* Inne źródła podają że w 1604 r. kmieć Kulig zawiózł pięć wozów kamienia z Trzebuni do Krakowa. W sztolniach pracowali robotnicy z Orawy. Posuwali się oni w głąb góry w poszukiwaniu jak najlepszego kamienia. Chodniki i wyrobiska stemplowali drewnianymi podporami. Poza umiejętnościami górniczymi i kamieniarskimi, posiadali jakąś nieziemską moc.....

Mówili ludzie, że narzędzi, którymi pracowali, nigdy nie chowali na noc. Każdy, kto spróbowałby ukraść jakieś narzędzie i wziął je do ręki, od razu jakby skamieniał – nie mógł się ruszyć z miejsca. Dopiero gdy rano kamieniarze wracali do pracy, mogli uwolnić złodzieja od czarów. Taka kara była ponoć wystarczająca, aby złodziejowi odechciało się kraść.

Eksploatację kamieniołomu zakończył tragiczny wypadek. Otóż któregoś dnia zawaliła się część chodników, grzebiąc przy tym robotników. W środku

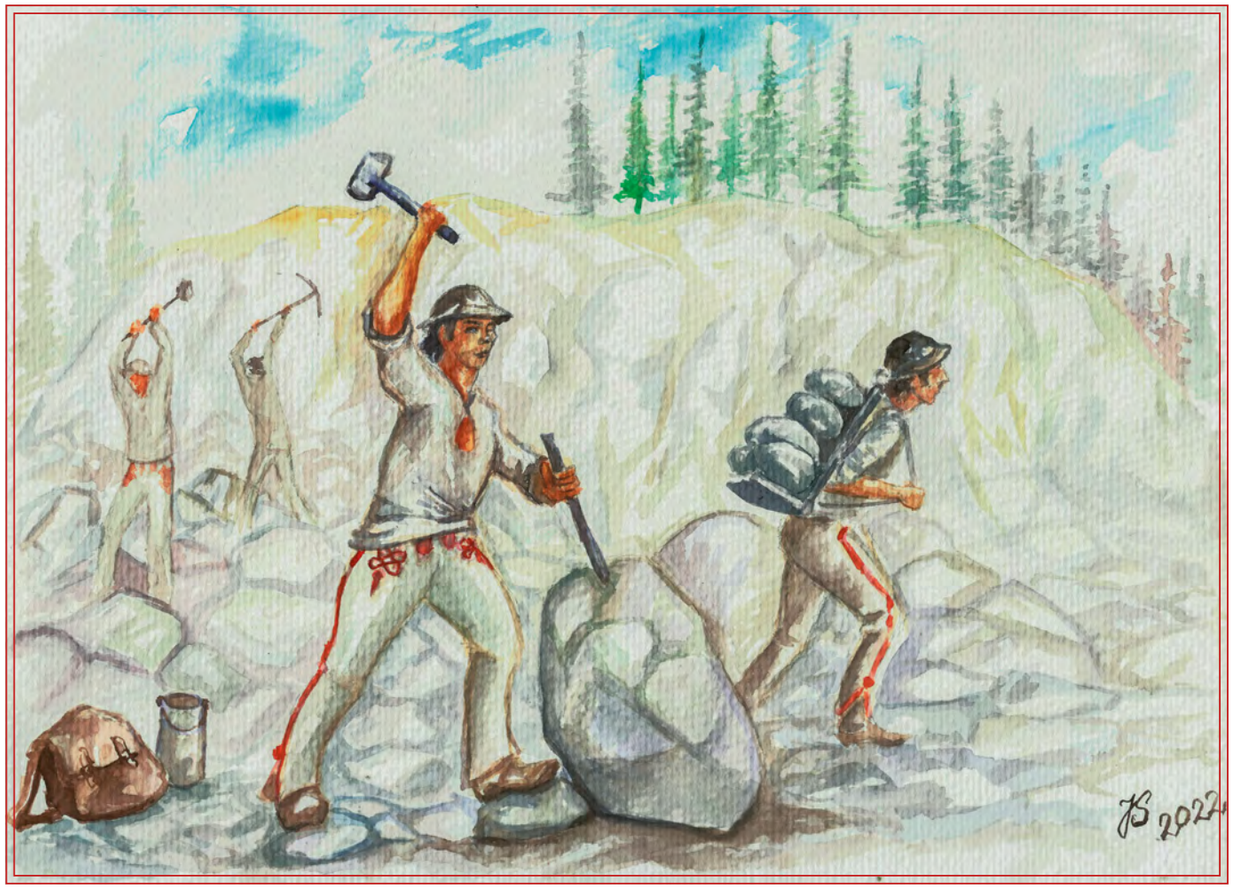

jaskini czy raczej w wyrobisku wielkości dużej izby, do której jeszcze niedawno można było wejść, leży dużej wielkości głaz, spod którego wystają kości, prawdopodobnie woła. Woły służyły do transportu urobku w sztolni, a ten najwidoczniej został przygnieciony w dniu katastrofy.

Podobno i dziś ludzie boją się zbliżać do kamieniołomu, gdzie czuć dziwną moc umarłych kamieniarzy, a czasem słychać odgłos, jakby ktoś kamień młotem obrabiał.

Na podstawie podania Jana Krzystka (Trzebunia 49),
Wojciecha Pasternaka (Trzebunia 36)
i innych mieszkańców Trzebuni
spisanego przez Jana Oskwarka

Informacja o kmieciu Kuligu z 1604 r. za: Piotr Sadowski, *Gmina Pcim*... s. 214

Tomasz Bylica *alias* Pierdzioch

Odległe to czasy, kiedy to górale trzebuńscy co roku płacili należności podatkowe w starostwie lanckorońskim. Płacili początkowo w naturze – serami *wałaskimi*, gdyż hodowali stada owiec, a to węglem drzewnym wypalanym w lasach trzebuńskich, gontami na pokrycie dachów – czym się dało i czego żądał starosta lanckoroński.

Tym razem pan zażądał pieniędzy na podatek, bo widział, że chłopom lepiej się wiedzie i łatwiej będzie im należność dostarczyć do zamku, zwłaszcza że droga daleka i przez Trzebuńską Górę trzeba przejść. Zdarzało się, że kiedy niesiono śmietanę jako daninę, u wrót zamkowych z naczynia wyjmowano masło... wyrobione jak w *maśnicce* na kamienistej górskiej drodze. Wybrali więc gospodarze zaufanego delegata i powierzyli mu swoje powinności dla pana z zamku. Misja była dość ryzykowna, gdyż wiadomo, że łatwo takiego mogli zbójcy dorwać i złupić go z pieniędzy. Tomasz miał na imię i może nie był zbyt odważny i hardy, ale za to był błyskotliwy, wesoły, a nade wszystko szybki, co mogło mu pomóc, gdyby miał przed zbójnikami uciekać.

Wcześnie rano wyruszył w drogę, bo już o świcie oglądał zamek lanckoroński z Kozówki – osiedla w Jasienicy tuż pod Trzebuńska Górą. Rozpościera się tam przepiękny widok na podkrakowskie wioski, a i Kraków można dostrzec. Przysiadł i z zachwytem oglądał, zagryzając kawałek chleba ze słoniną.

Po lewej widział klasztor kalwaryjski, gdzie cudowny wizerunek Matki Boskiej Kalwaryjskiej co roku na Wniebowzięcie nawiedza i w dróżkach pobożnie uczestniczy z kompanią trzebuńską. Dalej w prawo na szczycie zamek, cel jego podróży, a niżej kościół lanckoroński. Rozmarzył się przez chwilę i pomyślał, gdzieżby tu poleciał, gdyby był ptakiem....

Ruszył w dalszą drogę, oglądając się na boki, czy go jacyś bandyci nie śledzą i tak szczęśliwie dotarł do granic miasteczka Lanckorona. Wszedł na piękny rynek, położony na zboczu Lanckorońskiej Góry, podziwiając ściśnięte wokół niego drewniane domki. Kiedy mijał karczmę, to jakby Anioł Stróż przyspieszył mu kroku, żeby też nawet przez myśl mu nie przyszło, aby wstąpić do niej na chwilę. Stromo pod górę szedł, mijając kościół i po chwili jego oczom ukazał się potężny zamek, zbudowany jeszcze przez króla Kazimierza Wielkiego.

Zachwycał się ogromem budowli, strzelistymi basztami, grubymi murami i marzył, jakby to było zamieszkać w takim zamku, choćby przez jeden dzień i noc. I pomyślał głośno:

– *Ej zeby jesce z jakom ksieznickom...*

Ale szybko się przeżegnał, żeby odgonić diabelskie myśli i wszedł na dziedziniec zamku, rozglądając się, gdzie tu kancelaria, co w niej podatki przyjmują. W końcu wskazano mu komnatę, w której siedział poborca podatkowy, a do której prowadziło szereg schodów.

Czy to ze strachu czy z głodu, nie wiadomo, poczuł ból brzucha i burczenie w żołądku, tak że nagły przypływ gazów upuszczał sobie głośno, gdy stąpał na każdym schodzie. Usłyszał to starosta, gdyż drzwi do komnaty były otwarte, a gdyby nawet były zamknięte, to i tak by usłyszał, bo grzmiało tak jakby na burzę się zbierało.

Wielce zdziwiony starosta rzekł do Tomasza:

– *To, coś uczynił, wielce mnie zadziwia, po coś przyszedł z taką orkiestrą?* – zażartował.

Zaczerwienił się Tomasz, ale po chwili odparł:

– *Wielce sanowny ponie, niese lo wos podotek łod wsi Trzebunia.*

Starosta pomyślał i mówi:

– *Jeśli jeszcze raz wyjdziesz po tych schodach i równie głośno na każdym stopniu oznajmisz to, popuszczając nieco, wtedy zatrzymasz należne mi podatki dla siebie!*

Tomasz nie do końca wierzył w obietnicę pana, ale nie miał nic do stracenia, żeby spróbować zarobić sporo grosza. Zdobywając każdy kolejny stopień, równie głośno, co poprzednio, obwieszczał „fizjologiczną trąbą" swój wyczyn..... aż do ostatniego schoda na szczycie.

Starosta rozbawiony, i jeszcze bardziej zadziwiony, dotrzymał słowa. Obdarował Tomasza pieniędzmi, które przyniósł mu na podatek. Pan jednak, znany z dowcipkowania, wpisał w wykazach podatkowych Tomaszowi nazwisko *Pierdzioch*, tak że odtąd on i jego dzieci takie nazwisko nosili. Dopiero potomkowie Tomasza Pierdziocha za czasów zaboru austriackiego zwrócili się do sądu austriackiego o zmianę nazwiska na Bylica, na co władze sądownicze wyraziły zgodę.

I można by powątpiewać w prawdziwość tego podania, gdyby nie fakt, że Jan Oskwarek, który spisał to opowiadanie, w trakcie poszukiwań informacji o naszej wsi i okolicy natrafił w archiwach w Nowym Targu na bardzo ciekawy dokument. Mianowicie w spisie powinności ustalonych dla wsi Trzebunia przez starostwo lanckorońskie z 1713 r. widnieje nazwisko Tomasa Perdziocha *alias* Brdzioch, który figurował jako właściciel młyna....

Faktem jest również, że wielu Byliców, może potomków Pierdziocha, grało w trzebuńskiej orkiestrze dętej i odznaczało się bardzo dobrym zadęciem....

Podania Stanisława Hodurka (Trzebunia 316) spisał Jan Oskwarek

Baja z owcy i wilk

Sroga zima przykryła płaszczem dolinę i góry trzebuńskie na długie miesiące. Dzikie zwierzęta coraz bliżej podchodziły ku chałpom, tak że w nocy nawet chłopy na pole nie bardzo chcieli wychodzić. No ale żyć trza było i po zmroku sprawy trzeba w zimie załatwiać, bo dzień krótki.

Ostatnie promienie słońce schowały się za Babicą, kiedy pośpiesznym krokiem wracał z miasta do domu Józef Oskwarek (pradziadek Jana Oskwarka, wieloletniego przewodnika pieszej pielgrzymki trzebuńskiej na Jasną Górę). Ponieważ było mroźno, ubrany był w baję, czyli w płaszcz szyty z grubego, foluszowanego sukna z długimi rękawami.

Na głowie miał nisko nasuniętą baranicę, więc nie dostrzegł, że od pewnego czasu ze wzgórza obserwuje go wygłodniały wilk....

Droga z miasta daleka i ciężko się kroczy, bo śniegu dużo, co wyczerpało podróżnego i uśpiło jego czujność. Nie było już czasu na ucieczkę, kiedy dostrzegł wilka z otwartą paszczą tuż przed sobą. Zamarł. Ale umarłego udawać nie mógł, bo przecież stał na nogach i dygotał nie z zimna, tylko z przerażenia. Nic by nie dało udawanie martwego, bo wilkowi łatwiej byłoby się do kolacji dobrać, a tak może spróbować się bronić... I pomyślał Oskwarek, że gołymi rękami przeciw pazurom wilka walczył nie będzie. Więc rękę schował

do rękawa, zawinął koniec jakby rękawicą i kiedy mu wilk chciał do gardła skoczyć, wepchnął mu tą rękawice do paszczy. Wilk łapczywie połykał rękę ubraną w wełnianą „zbroję" i w końcu gardło mu się zatkało. Szamotał się chwilę i padł uduszony bają.....

Nawet nie pamiętał Józek, jak się uwolnił z szczęk martwej bestii, ale szczęśliwie dotarł do chałpy. I tak chorował trzy dni, nikomu nic nie mówiąc, bo bał się, że nikt mu nie uwierzy. Lecz wilka martwego ludzie znaleźli i powiązali z dziwnym zachowaniem Józka, który po trzech dniach całą prawdę wyjawił.

Mówili potem ludzie, *ze to piyrsy roz jak to uowca wilka zabiła*... i coś w tym prawdy było, bo przecież baja z owczej wełny była uszyta....

Spotkania z wilkiem jeszcze na początku XX w. nie należały do rzadkości, o czym wspomina Michał Horwat – gajowy. Pamięta jamy (doły) na granicy Stróży i Trzebuni pod górą Kotoń, głębokie na 4 m. które służyły do łapania wilków.

Podanie Marii Borsuk (Trzebunia 338) spisał Jan Oskwarek

Kościelne wartowanie

Z definicji wynika, że „obyczaj" jest to powszechnie przyjęty i tradycyjny sposób postępowania grupy ludzi danego terenu w określonym czasie, jako pewien zwyczaj. Takim zwyczajem w Trzebuni było – między innymi – pilnowanie nocą kościoła przez dwóch wartowników. Nie wiadomo tylko, co spowodowało tę troskę o kościół i to pilnowanie?

Czy już wcześniej zdarzyła się jakaś kradzież w kościele, czy jakaś psota, zniszczenie czegoś koło kościoła? Obecny kościół w Trzebuni, murowany, budowany był jeszcze w XVIII wieku, a oddany w użytkowanie w roku 1799, a parafia trzebuńska została powołana dekretem władz kościelnych w kwietniu 1849 roku. Do tej pory trzebunianie należeli do parafii w Sułkowicach.

W Trzebuni już w roku 1619 na roli Łatasowej wybudowany został mały kościółek drewniany pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła i św. Marii Magdaleny. Obok niego stała dzwonnica z dwoma dzwonami. W XVIII wieku okolicę nawiedziła niespotykana klęska żywiołowa. Olbrzymie opady spowodowały zniszczenia pół uprawnych. Wezbrane wody rzeki Trzebunki podmyły brzegi gruntów na Łatasowie i wraz z nimi osunął się do rzeki kościółek i spłynął kilkadziesiąt metrów pod rolę Balinkową. Tam roztrzaskał się o olbrzymią topolę. Elementy wyposażenia kościoła porwała woda. Dzwony kościelne woda zaniosła aż do Raby, a dalej Rabą aż do Drogini

i tam ją zamuliła. Po wydobyciu ich, szczęśliwie droginianie zawiesili je w swoim kościele. I tu zachodzi pytanie – czy trzebunianie, bojąc się o nowy kościół przed jakąś nieszczęśliwą powodzią, postanowili czuwać nocą przy kościele dla jego ratunku?

Za moich dziecięcych lat i młodzieńczych w czasie wojny wartowanie przy kościele trwało bez przerwy. Po kolei z dwóch domów szli na wartę mężczyźni, młodzi czy starzy, ale bez oporów, bo taki był zwyczaj i nikt się od niego nie bronił. Wartę pełniło się gdzieś od godziny ósmej wieczorem do rannego świtu. Jak sąsiedzi odbyli wartę przy kościele nocą, to rano zawiadamiano następnych, co ich czeka. Żeby nie zapomnieć o tym obowiązku, to się im zostawiało tzw. „dziada". „Dziad" to była rzeczywiście taka dziadowska kukła, zrobiona była z grubszej gałęzi drzewa liściastego, która miała równo rozłożone, nieznacznie oddalone od siebie dalsze rozrosty i boczne naprzeciw. Początkowa część była grubsza – stanowiła głowę do wyrzeźbienia i pierś do ubrania, a te rozgałęzienia, to nogi i ewentualnie ręce. Wysokość całości to około 50-60 cm. Na te, niby kościotrupa, rusztowanie były przyklejone włosy, wyrzeźbione prymitywnie oczy, nos, usta i znów przyklejone: wąsy i broda. Na te niby nogi wciągnięto jakieś stare dziecięce porcięta. Tułów owinięty był chyba jakimiś szmatami, żeby ten kabacik, czy dziecięcy płaszczyk, jakoś się trzymał. Na stopki użyto starych trzewików dziecięcych, przebitych od spodu gwoździkami do tych niby nóg. Na głowie też była jakaś dziecięca czapeczka.

„Dziadek" corocznie prawie dwukrotnie przewędrował wieś. Jak coś się na nim podarło, to mu dokładano nowe i tak żył se dziadzina pod opieką trzebunian. W czasie wojny, już jako młodzianowi, zdarzało mi się pełnić wartę z kimś z sąsiadów. Szło się najpierw do Ganobki na roli Ligęzowej, bo to był najdogodniejszy dom do zostawienia tam klucza od wartowni i rogu do sygnalizacji. Ten róg to odpowiednio przystosowany do tej funkcji stary róg z woła. Jako taka trąbka był w środku odpowiednio wyczyszczony, może miał też jakiś ustnik? Dawał donośny, głęboki dźwięk, słyszalny daleko od kościoła. Wartownia przy magazynie przykościelnym była od czasu, kiedy kościelnym wybrano Jana

Knapczyka, to było gdzieś na początku 30 lat XX wieku. Do czasu wybudowania nowego magazynu i wartowni – wartujący dla odpoczynku, czy przespania się, korzystali z Babieńca, przy wejściu do kościoła. Zimą palili ognisko pod schodami i okalającym murem wokół kościoła.

Co robiło się przez tę noc wartowania?

Jak latem było ciepło i pogodnie – to spacer, po odegraniu na rogu wieścił, że się jest na straży i pilnuje kościoła i wsi. Porozmawiało się z tymi łazęgami nocnymi, co wracali do swoich domów na resztę nocy. To znów granie na rogu i nauka dmuchania do niego... Jak było zimno to zapalenie w piecyku żelaznym, zaświecenie świecy, jak było co, to czytanie. Jak byli kabareciarze, to gra w karty i opowiadanie różnych „hocków-klocków" z życia i literatury czy zmyślonej własnej twórczości. Jak się zdarzył jakiś dowcipniś to się robiło jakieś żarty – budzenie albo straszenie dziewcząt, kiedy w domu nie było ojca, który by przegonił zalotników.

W okresie wojny to było głupie i złośliwe takie nocne budzenie, bo to mogli być nie tylko złodzieje, ale partyzanci, albo zorganizowane przez Niemców łapownictwo ludzi na roboty do Niemiec. Rozbudzeni, choć niewinni ludzie, w strachu długo pamiętali wyrządzona krzywdę... W czasie wojny wartownicy mieli nakazane pilnować również sklepu kółka rolniczego, bo odległość nie była wielka, przed partyzantami, żeby tego tego sklepu nie wyrabowali.

Głupota, wielka głupota! Bo w sklepie nic nie było, co by się mogło przydać partyzantom: podkowy pod konie, parę gwoździ, smar do kół i co? Ponadto większość nas należała do organizacji zbrojnej jak BCh, AK...

To by jeszcze doradzili, jak się do sklepu dostać.

Spisał Antoni Kiełbus na prośbę Andrzeja Oskwarka w 2020 r.

Diabelski Głaz

(z legend Podhala)

W dolinie, opiętej z dwóch stron łańcuchami gór, rozsiadła się wioska. Od południa zawisnął nad chatami swym cielskiem wielki Kotoń. Zawsze nieporuszony, zawsze ten sam, spoglądał dobrotliwie na ludek, żyjący w dole. Nie czuł się samotny, bo wokół niego rozsiedli się sąsiedzi i sąsiadki, nie tak wielcy jak on, ale równie sędziwi i szanowani – oto Jedlina, Jaworzyny, Groń... dalej nieco poważna Balinka, a obok cały szereg gór mniejszych, tłoczących się wokół wyniosłej Parszywki – niby czeladź przed gospodynią. Naprzeciw – z północnej strony, osowiale patrzył dział Pabisu. Całe zresztą północne pasmo górskie wznosiło się łagodnie nad wioską. Nie było urwistych zboczy, ale urocze polany, nie było dzikich pustaci, lecz lasy rozległe. Smętna Krzywica pełna mroków i cieni, szumem swych smukłych jodeł i gibkich sosen zdawała się marzyć i tęsknić za czymś dawnym, co minęło i już nie wróci....

Dawne to były czasy....

Ludek żyjący wśród tych gór umyślił zbudować sobie kościół wielki, murowany, w miejsce starej kapliczki z drzewa, którą w czasie burzy potok zniszczył. Miejsce wybrano na wzgórzu w środku wsi, tam – gdzie dotąd grzebano umarłych. Długo myślano o tym, jakby tu zbudować kościół wielki, ale cóż, zdawało się, że na nic wszystkie nadzieje, bo ludzi za mało, by mogli swoimi siłami podołać pracy, jaka ich czekała. Mimo wszystko przystąpiono do działa. Wnet okazało się, że to

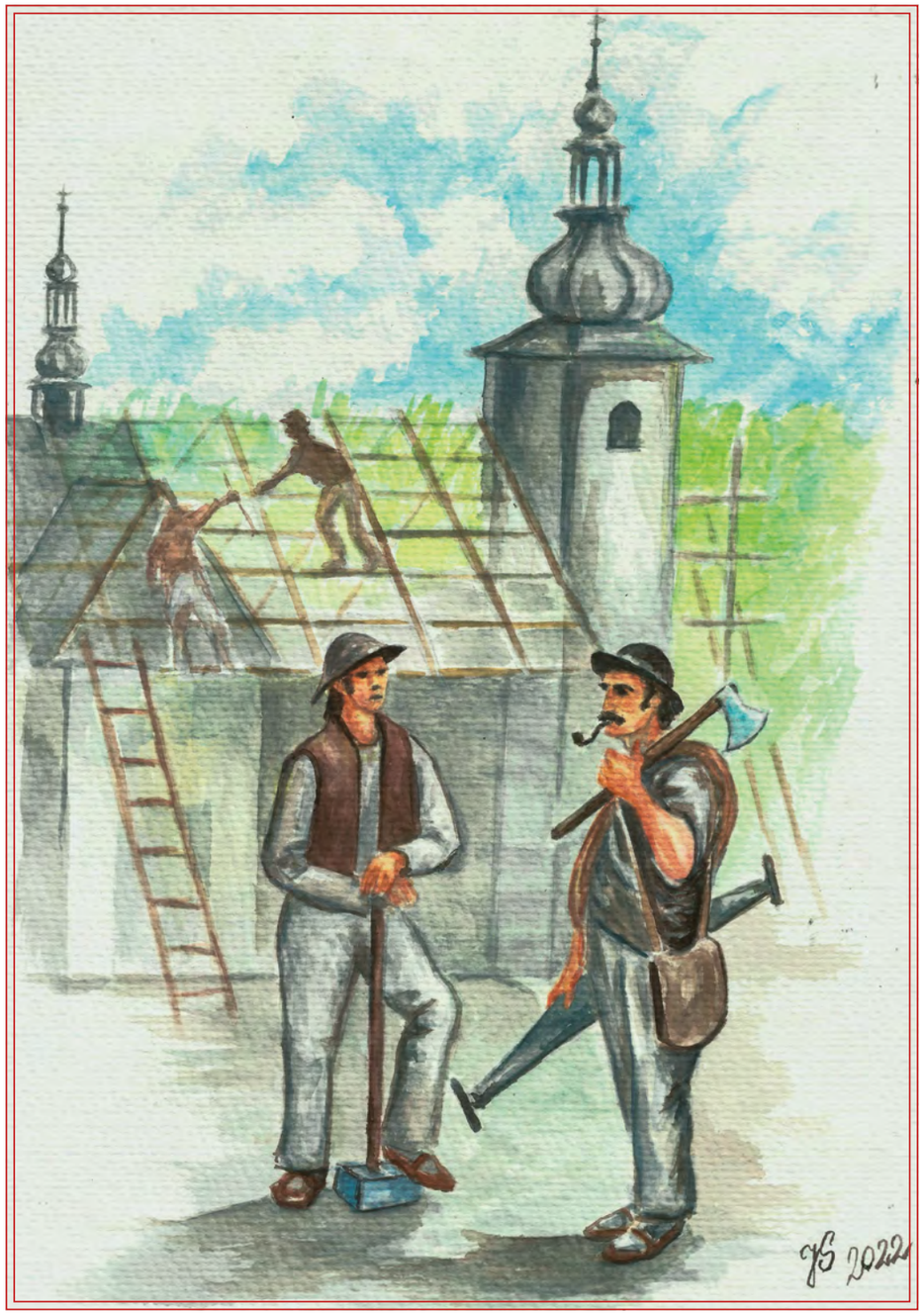

przedsięwzięcie nad siły. Nie było bowiem ani murarzy dosyć, ani robotników, ani też materiału. Nie zwątpiono przecież – gospodarze co znaczniejsi chwycili za młoty i inne narzędzia murarskie, a roboty zaczętej nie porzucono. Zapał taki ogarnął wioskę, że wszyscy chcieli pomagać przy budowie. Niewiasty w koszykach, a nawet w zapaskach nosiły kamienie. Kiedy w dzień, z powodu pracy około dobytku, nie mogły wspomagać dzieła świętego, stawały przed świtem i w radosnym zapamiętaniu znosiły kamienie i piasek, by jeno kościół stanął.

Dzieci nawet nieletnie z radosnym szczebiotem rzucały na stos kamieni drobne grudki, chcąc wedle sił swych przyczynić się do budowy. Nie było zgoła we wsi nikogo, kto obojętnie przeszedł obok murów budującej się świątyni. Każdy poczuwał się do obowiązku przyjść z pomocą dziełu wspólnemu, każdy dawał to, co miał, a przede wszystkim siły i zapał.

Ściany kościoła wznosiły się z dnia na dzień coraz wyżej – a wnet białe krokwie spoczęły na murach. Równocześnie na wieżę wyciągnięto dzwony co ocalały ze starej kapliczki. Radość rozpromieniała twarze wszystkich, a uśmiech rozchylił usta, zwarte dotąd w nieustępliwym wysiłku.

Szatan jednakże nie mógł znieść tej radości, drażnili go ludzie którzy tak bardzo potrafili się cieszyć. Przybrał postać kruka, poleciał nad wsią raz, drugi i trzeci – zobaczył kościół nowobudowany i postanowił go zburzyć, a wtedy radość i szczęście ludu przemieni w smutek i biadanie.

Przybrał swą zwykłą postać. Otoczył się czarnymi skrzydłami nietoperza i pofrunął gdzieś między góry, gdzie leżało mnóstwo wielkich głazów. Porwał jeden z nich i pędem zmierzał przez góry. Już..., już miał głaz paść ze szczytu Kotonia na kościół, lecz wtem srebrny głos dzwonu odezwał się w dole.

Zaszumiały góry radosnym odgłosem...

Zdrowaś Maryja! – zaszeptały smreki dumne, podchwyciły pozdrowienie jodły giętkie, zawtórowały sosny, zahuczały buki – cały las rozbrzmiał chwałą Maryi!

Czart stracił moc.

W jednej chwili wysunął mu się z ręki głaz straszliwy, stoczył się na Pękalę i pękł na dwoje. I dziś jeszcze można go widzieć

Szatan zaś, nie mogąc znieść uwielbień Maryi, zapadł się opodal w ziemię i zaraz zbocze góry pokryły mokradła, a woda z pluskiem wydobywać się zaczęła z rozpadlin błotnistych, niby z jakichś zropiałych ran. Lud do dziś dnia omija to miejsce, „Mocurami" zwane, bo straszno tam jest – powiadają.

Minęły wieki, a dzwon jak niegdyś, tak i teraz trzykroć na dzień pozdrawia Maryję, a echo gór i szumom lasów wtórują serca...

Legenda *Diabelski głaz* ukazała się w miesięczniku„Głos Karmelu" w 1947 r.
Autor ukrył się pod pseudonimem Ron,
lecz najpewniej legendę napisał O. Roman Pająk rodem z Trzebuni.

ANEGDOTY Antoniego Kiełbusa

Czy Ci się samica okociła?

W czasie okupacji, gdy już miałem te 16 czy 17 lat, chodziłem z Krzesnoojcem na wartę. Taka warta przypadała prawie dwa razy na rok na rodzinę. Pilnowano od lat kościoła przed złodziejami, w kolejności dom za domem po dwie osoby. W okupację warta miała nakaz pilnowania sklepu Kółka Rolniczego przed partyzantami i złodziejami. Co tacy wartownicy, bez broni mogli zrobić, gdyby partyzanci chcieli się włamać? Chyba by im jeszcze pomogli. Ale po co mieli tu przychodzić, po te gwoździe, podkowy? Do jedzenia nic nie było.

W czasie wartowania było nudno – toteż w wartowni przy kościele grało się w karty, trochę pochodziło, zatrąbiło na rogu, dając znać, że się czuwa. Krzesnoojciec też się nudził i umyślił, że trzeba jakiś żart komuś zrobić. Najlepiej takiemu poczciwcowi, co się nie obrazi. Wymyślił chłopa z sąsiedniej roli. Był to poczciwina żyjący na roli Ligęzowej, a więc blisko sklepu i kościoła. Spokojny, nie wadził nikomu, strachliwy – też najlepiej takiego straszyć.

Nie mogłem się sprzeciwiać Krzesnoojcowi, by dobrej zawsze komitywy nie zepsuć. Poszliśmy do tej chałpy.

Zastukał do okna. Takie pukanie w nocy w czasie wojny budziło wiele podejrzeń i strachu. Mogli to być Niemcy, partyzanci lub rabusie... Ale o to chodziło, żeby trochę postraszyć. Potem mieć zabawę, opowiadając głupie wybryki.

Na pukanie, kilkakrotne odezwał się przestraszony głos:

– *Kto tam!?*

– *To jo... Jasiek od Maliny* – odpowiedział Krzesnoojciec.

– *Kto!???*

– *No, jo Pytlik od Maliny.*

– *A co kcecie?*

– *Nic takiego, ino mom do ciebie pilne zapytanie. Otwórz nie bój się.*

– *Co takiego pilnego mocie po nocy? Zaroz wstaje i odmykom, ino coś wdzieje na siebie*

Drzwi się za chwilę uchyliły i chłopisko zastraszone pyta?

– *O co chodzi?*

– *A no kciołem cie się zapytać, czy ta twoja kotno samica już ci się okociła?*

Chłop zaklął siarczyście, trzasnął drzwiami, zaryglował, a co pomyślał, to jeden Bóg wie?

Krzesnoojciec opowiadał potem, jak budził chłopa, kiedy był na warcie...

Despetny Krzesnoojciec

W Trzebuni Chrzestnymi nazywano nie tylko tych, co byli ich rzeczywistymi chrzestnymi, ale również wszystkich starszych, jako uszanowanie zacnych osób. Młodzi, zwracając się do starszego gospodarza, czy gospodyni, mieli wygodne rozwiązanie używając zwrotu: Krzesnoojce czy Krzesnomatko.

Lecz ten Krzesnoojciec – Jan Oskwarek, mieszkający prawie z nami po sąsiedzku, bywał chrzestnym ojcem wielu dzieciom. Szanowany, brat ojca Ireneusza karmelity, przewodniczący Komitetu Kościelnego, ale i bezdzietny w małżeństwie, chętnie dawał się prosić na chrzestnego. Był również chrzestnym ojcem mojego brata Józia, a jego żona Maria była chrzestną matką brata Janka. Mieliśmy więc pełne prawo i obowiązek zwracania się do niego Krzesnoojce. Ponieważ nie miał własnych dzieci, lubił dzieci obce, a zwłaszcza tych swoich chrześniaków. Obdarzał je łakociami, zabawiał różnymi anegdotami w zależności od wieku, a z rodzicami żył po przyjacielsku.

Korzystaliśmy też my z jego życzliwości, a ja, najstarszy z braci, wchodząc w lata nastolatka i po wojnie jako student, byłem ulubionym słuchaczem różnych jego anegdotek, powiedzonek, żartów i już mocniejszych „kawałów..."

Był zwykle pogodny i żartobliwy, lecz miał w sobie nawyk do robienia innym, nawet przyjaciołom, różnych figli, kawałów, czasem przykrych – tzw. „despetów", a potem opowiadał co komu udało się wymajstrować, czyli nabić w butelkę. Miał też rodowe przezwisko (cecha w Trzebuni znana) i nazywano go Jaśkiem Pytlikiem od Maliny (mieszkał na roli Malinowej), a inni Pytliki mieszkali na roli Oskwarkowej.

Chowajcie narzędzia, bo wom krzesnoojciec schowo

Jak robiło się w polu blisko pól Krzesnoojca, nie można było, idąc na południowy popas, zostawić pługa, bron czy innych narzędzi nie ukrytych, bo przechodzący Krzesnoojciec potrafił je odnieść gdzieś daleko do potoczka, zagajnika, przykryć darnią itd. Potem właściciel, zamiast pracować, poświęcał długi czas na odszukanie narzędzia.

Już wszyscy wiedzieli – *On to zrobił, ten cholernik...* Ale jakoś nikt mu tego nie wypominał, najwyżej odpłacono mu oko za oko.

Łapanie wiewiórki

W piękny poranek na wiosnę, jeszcze świtało, wpadł do nas Krzesnoojciec, do domu. Ojciec i starsi już powstawali, my dzieci jeszcze leżeliśmy w łóżkach. Krzesnoojciec z wrzaskiem budził nas starszych:

– *Wstańcie szybko!!! Chodźcie do ogrodu, na jabłoni jest piękna wiewiórka, otoczymy jabłoń i złapiemy wiewiórkę* – i on nas prowadzi.

– *Gdzie ta wiewiórka* – pytamy, bo nic nie widać?

– *O, tu, tu, z drugiej strony! Widzisz tam jest, tam...*

I tak kręcimy się koło tej jabłoni i wypatrujemy tej wiewiórki...

A on krąży i krąży, naprowadza, pokazuje – a nic nie widać.

Wreszcie któreś wpadło w wielkie gówno pod jabłonią....

– *No widzis! Złapołeś jo wreście! He,he, he* – ucieszył się krzesnoojciec.

My też, zrozumieliśmy o jaką wiewiórkę chodziło. Udało mu się!

Do Ojca szedł w jakiejś sprawie, zobaczył po jabłonią wielkie „krówskie kupsko" i czemu je nie wykorzystać dla kawału dla dzieci.

Chłodzenie Zacierki

Z wyczajem było w wielu domach wspólnie jadać z jednej miski, tak przed wojną, jak też w czasie okupacji. Talerze, widelce, to sprawa późniejszego kulturalnego wychowania w Beskidach.

Gorącą zacierkę czy ziemniaki wsypywało się do dużej miski, wlewało mleko i każdy sięgał do niej łyżką. Żeby szybciej wystygła np. zacierka (danie z wody i maki, tradycyjna potrawa) wynoszono miskę na ganek na jakiś czas. Tak też było u sąsiadów. Przechodzący wieczorna porą koło domu Krzesnoojciec zauważył miskę z zacierką położona na ławie. Już go diabeł podkusił, miskę zdjął z ławki i położył pod drzwi wejściowe...

Kiedy po strawę wyszedł jeden z domowników, od razu wdepnął do zacierki... I o to przecież chodziło. Udał się despet...

Ale jeść trzeba było, nic innego nie mieli. Klątwa, klątwa, pierony się sypią. Co zabrudzone butem trzeba było usunąć i zacierkę zjeść, a Krzesnoojciec miał anegdotę do opowiedzenia..

Żonie też trzeba umilić życie

Żdla żony Marii, coś trzeba było wymyślić. W gorący lipiec po południu w niedzielę położyła się nad domem w ogrodzie pod jabłonią i zasnęła. Kiedy twardo spała, maż podszedł do niej cicho, leciutko szeroką i długą spódnicę (bo takie nosiły kobiety w Trzebuni) podwinął do góry i zawiązał nad głowa, blokując ręce. W ten sposób cała goluśka pupa została odkryta, bo kobiety w lecie nie potrzebowały w tak długich spódnicach majtek. Unieruchomiona Krzesnomatka krzyczała i wołała o pomoc. Uwolniła ja dopiero służąca, która usłyszała wołanie.

O Michale Nieciągu

Nasz sąsiad Michał Nieciąg był wesołym i miłym staruszkiem oraz ciekawym gawędziarzem. Nam dzieciom opowiadał swoje przeżycia, a zaczynał do nas od słów: – *Jak jo byłem malutkiem chłopockiem...* a potem co jakiś czas wtrącał „beskijo" czyli złagodzone *bestyjo*, a na koniec opowieści był śmiech z tego, co opowiedział; *he....he....he...beskijo!*

– *Jak jo, beskijo, był małym chłopockiem, to my, beskijo z Ojcem pojechali z drewkami do Krakowa he..he...he beskijo. Jademy, jademy i już za Myślenicami, beskijo, a tu za zokrentu, jak nie wyskocy, beskijo, taki mały diabełek i beskijo, wyrcy i wyrcy, jaz się koń, beskijo, przestrasył, stanon demba i beskijo...do fosy skrencił furke. Ta się ze scypkami, beskijo, do góry kołami wywróciła he...he...* Tym diabełkiem był samochód, konie nie przyzwyczajone, bardzo się bały tych pojazdów *bez dyśla*. Jak się baby dziwiły, czemu tak się *boły*, to chłop tłumaczył:
– *Ty byś się nie boła, gdybyś widziała, że same portki ido bez chłopa?*

Raz zdarzyło się Nieciągowi w Krakowie przejechać furmanką skrzyżowanie na czerwonym świetle. Zatrzymał go policjant i jak zwykle dyskusja:

– *Jak się nazywacie?* (dowodów wówczas jeszcze nie było)

– *Michał Nieciąg* – odrzekł winowajca.

– *Co znaczy„ „nie ciąg"? Ja was nie ciągnę, tylko pytam o nazwisko!*

– *Przecie godom: Michał Nieciąg!*

– *Co za zuchwałość!!! Ja dla was nie żaden Michał tylko przedstawiciel władzy! Zrozumiano?!*

– *Przeprosom wos panie posterunkowy, jo się nie spoufalom, ino godom, ze mi Michoł a nazwisko Nieciąg, beskijo, nie rozumiecie?*

Dopiero policjant zrozumiał, że sam będąc Michałem, ma do czynienia z innym Michałem o nazwisku Nieciąg.

A ze, beskijo.. .chłop był do rzecy, to, beskijo pośmioł się z tego, nieporozumienia i kozoł, beskijo, jechać dali he..he..he..

Jak nawrócić chłopa?

Na sołtystwie – zagrodzie obok roli Stopkowej – żyła rodzina, której przewodniczyła żona Hanka. Mąż mało gramotny, psychicznie niedomagał, stał się odludkiem, uciekał od ludzi i do kościoła przestał chodzić. Hanka mocno to przeżywała, pobożna członkini Trzeciego Zakonu, codziennie do kościoła chodziła, około dwóch kilometrów. Wstyd jej było za męża,

że taki bezbożny, duszę stracił, może go diabeł opętał? – myślała. Poskarżyła się tym zmartwieniem Andrzejowi, kiedy przechodziła koło jego domu. – *Wyście taki mądry, dorodźciez mi co mom z nim zrobić, zeby do kościoła posed.*

Rzeczywiście Andrzej w środowisku trzebuńskim odznaczał się znaczną mądrością i życiowym doświadczeniem. Inwalida z I wojny światowej, był doskonałym praktykiem w leczeniu zwierząt, zwłaszcza krów. Podglądając weterynarza w czasie pomocy przy wycieleniach, doszedł do takich umiejętności, że lekarz, jak nie mógł przyjechać do Trzebuni na wezwanie, polecał iść do Andrzeja po radę i pomoc.

Andrzej lubił też żarty i wesołe towarzystwo, tak że Dziadka Jędrka od Stopki chętnie zapraszano na wesela i do kompani – nawet młodzi. Za porady i pomoc przy różnych chorobach czy wycieleniach krów pieniędzy nie brał, choć robił już to, co weterynarz. Babina pograbiła go po ramieniu, *Bóg zapłać* powiedziała i tylko w niebie zaksięgowali na jego konto dobry uczynek.

Toteż Hanka szukała u Andrzeja rady w swoim zmartwieniu, kto mógł jej lepiej doradzić? Znali się dobrze po sąsiedzku, z mężem dawni kumotrowie, no to coś trzeba poradzić, coś zrobić – tylko co? Tu potrzebny był psychiatra. Ale ludzie tylko z widocznymi wariatami do Kobierzyna jechali, a takich depresyjnych nikt nie leczył.

Więc Andrzej wymyślił:

– *Może by go diabłem postraszyć ...?*

Czas był koło świąt Bożego Narodzenia, kiedy kolędnicy chodzą z diabłem, śmiercią, Herodem itd. po domach. Hanka zaaprobowała pomysł, a Andrzej miał załatwić sprawę z chłopakami, którzy kolędowali.

Niezła zabawa się kroiła dla Andrzeja i chłopaków. W określonym dniu kolędnicy, poubierani w kożuchy, maski, łańcuchy, z widłami, kosą, śmiercią

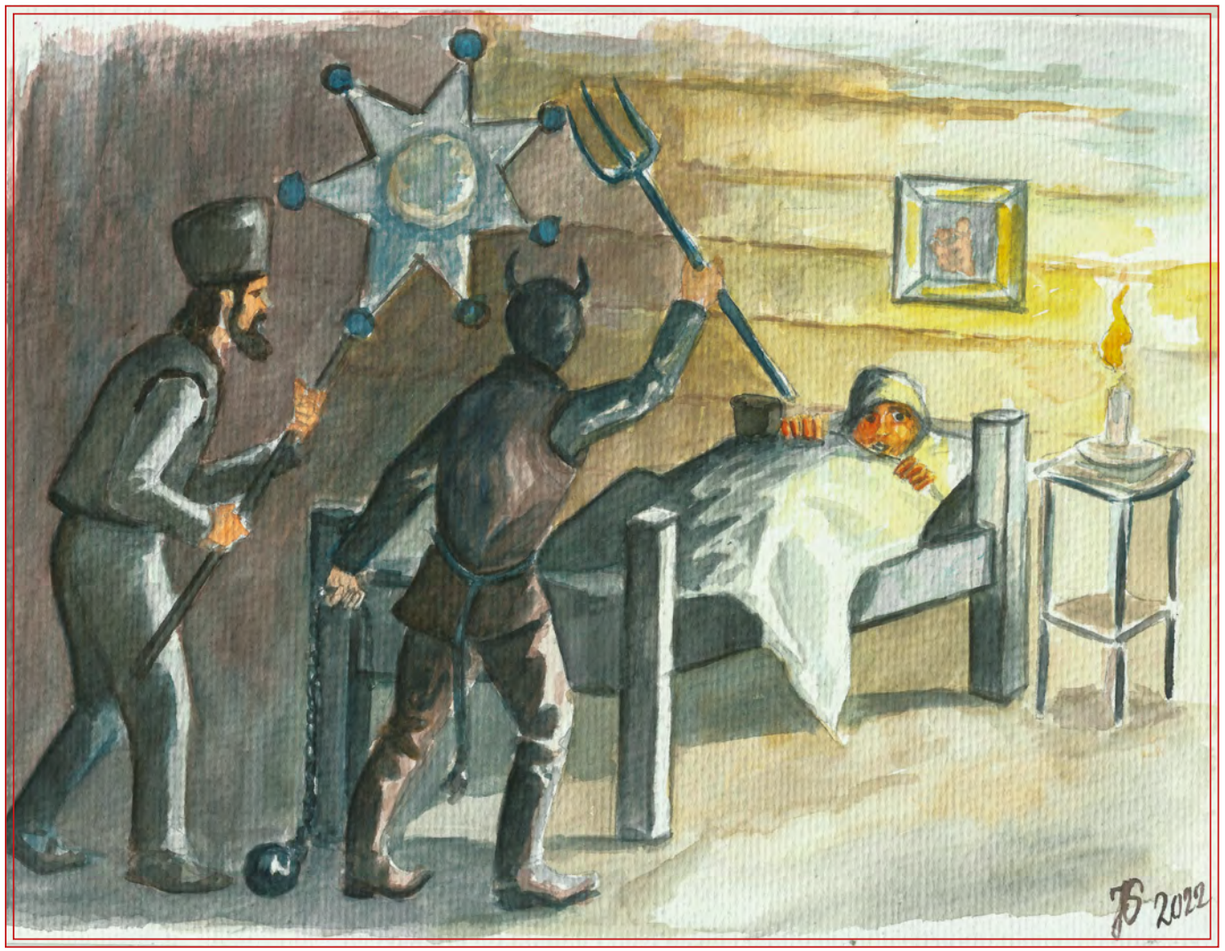

w masce, podeszli pod dom Hanki nocą. Ona otworzyła drzwi i wskazała izbę, gdzie mąż spał. Wpadli do niego z diabelskim rykiem, brzękiem łańcuchów i w ciemności... Chłopisko przebudzone w strachu, nie wiedziało co się dzieje i gdzie nawet jest. Czy to sen, czy rzeczywistość? Co w jego głowie się kojarzyło – któż to wie?

Jeden z diabłów podskoczył do jego łóżka i zaskrzeczał ;

– *Posłoł mnie tu Pon Jezus i świety Jon, zebym wos Janie do piekła wzion!!!*

Jan tylko do poduszki głowę wsadził, skurczył się, obrócił do ściany i ani słowa... Diabły poskakały chwile, zakwiczeli i ulotnili się z diabelskim wrzaskiem. Jak się uciszyło – nieszczęśnik zerwał się z pościeli i w bieliźnie, w której spał, boso, wyskoczył na pole, na śnieg i mróz, i popędził w górę drogą, gdzie chodziło się do Kalwarii.

Popędzili za nim z ubraniem domownicy, a może i kolędnicy, ale nie byli w stanie dogonić biedaka. Nie pomogły nawoływania Hanki i innych. Wpadł do lasu i zniknął. Po śladach na śniegu znaleziono go w kępie krzewów koło gajówki u Jamzroza. Skulony, zmarznięty i mało przytomny, krył się za tymi krzakami, bo już dalej nie był w stanie uciekać.

Okryli go i zabrali skostniałego do domu, ułożyli w łóżku, pewnie też tłumaczyli, że to były żarty a nie prawdziwe diabły. Przemarznięty, rozchorował się na dobre i umarł wkrótce. Ponieważ sprawa była karygodna, nie rozgłaszano przyczyn śmierci. Jako chłopiec podsłuchałem rozmowę Andrzeja z moim Ojcem o tym, co zaszło. Wkrótce przyszła wojna i ludzie mieli inne sprawy na głowie.

Jak się chłop ocielił

Znane jest góralskie opowiadanie o tym, jak się chłop ocielił. Robić mu się nie chciało, jadł, popijał, utył do nieprzyzwoitości. Baba wciąż mu dogadywała, że pewnie cielny, bo taki gruby i skłonności do kochania też nie wykazywał. Z czasem, zwłaszcza po pijanemu, chłopu istotnie się zdawało, że coś się w nim rusza. – *Skaranie babskie* – myślał – *co to będzie jak przyjdzie rodzić?*

No i stało się. Chłopisko w karczmie, a tymczasem ocieliła się krowa w domu. Babina sama jakoś sobie poradziła z tym cielęciem. Nie mając gdzie cielęcia ulokować w stajni, zaścieliła kąt słomą w kuchni, koło drzwi i tam ciele położyła, licząc, że rano chłop jakąś przegródkę zrobi. Chłop ledwo na nogach do domu się przywlókł. Po drodze niedobrze mu się robiło z tego pijaństwa i ciągiem ino myślał, że pewnie już to rodzenie nadchodzi. Dom był zamykany w znany mu sposób, toteż wtoczył się do kuchni i czując legowisko bachnął na słomę obok cielęcia. W nocy, gdy się przebudził, poczuł lizanie po twarzy. Maca wkoło, i z przerażeniem stwierdza, że leży razem z mokrym jeszcze cielęciem. Włosy mu się ze strachu zjeżyły, bo uświadomił sobie w pijackim zwidzie, że pewnie się ocielił. Buty z cholewami, nie zdjęte, bardzo go gniotły, więc cicho je zdjął.

Ciele obsychając, zaczynało wstawać i coraz natarczywiej szukało koło chłopa jakiejś sutki do ssania, rozumując po cielęcemu, że to krowa, jego matka. Wreszcie coś podobnego wygrzebało mu z portek i zaczęło ssać. Wtedy już chłop był pewny, że się ocielił, skoro ciele go ssie. Ze strachu przed wstydem, że coś takiego mu się przydarzyło, cichutko na bosaka wyszedł z chałpy, żeby tylko żona i dzieci nie słyszeli, bo co za wstyd – ojciec się ocielił. I poszedł, gdzie go oczy poniosły, żegnając się na zawsze z domem.

Rano wszyscy wstają, patrzą – buty ojca są, a jego nie ma. Baba se przypomniała, że w nocy chłop do chałpy się przywlókł, bo drzwiami chlapło. Więc co się z chłopem stało? Nic innego, tylko go w nocy, jak pijany spał, ciele zjadło.

Styjo matka! Do kościoła my wjechali

Pewien gospodarz z roli Łatasowej, jak wielu trzebunian, musiał od czasu do czasu jechać do Krakowa z drzewem na opał, by je sprzedać i parę złotych przywieźć na potrzeby gospodarstwa. Najczęściej tacy mało handlujący, robili wiązki ze szczypanych klocków i wiązali słomą. Służyły one na podpałkę w piecach na węgiel. Z nim często wybierała się do Krakowa żona, zabierając do sprzedania jajka, masło, czasem serki.

Kiedy już wszystko wysprzedali na Prądniku, wracali ulicą Warszawską i przez Basztową do ulicy Floriańskiej i przez mały Mały Rynek na Starowiślną. Tymi ulicami gospodarz jechał po raz pierwszy i nie znał Bramy Floriańskiej. Wjeżdżając przez nią na ulicę Floriańską, przeraził się, bo zobaczył w niej ołtarz i zapalone świece. Z wrażenia krzyknął do żony:

– *Styjo... matka, do kościoła my wjechali!*

[*Styjo* – skrócone Bestyjo - w tym kontekście zdziwienie, zaskoczenie]

Szabrowniku – Mesjasz się rodzi....

Wystawiając jasełka w Trzebuni, musieliśmy mieć na to pozwolenie z Powiatowej Rady Narodowej w Myślenicach. Załatwienie tej sprawy, jak wielu innych, przypadło mnie. Urzędnik przeglądał tekst i oświadczył, że nie możemy wystawiać Żyda w Jasełkach. – *Oni byli przez Niemców mordowani i nie można się z nich wyśmiewać w przedstawieniu* – argumentował.

Nie, to nie – zawsze jest możliwość obejścia zakazu. Wprowadziłem do tekstu zamiast Żyda, sławnego w tym czasie szabrownika. Szaber, czyli rabowanie z gospodarstw poniemieckich na Ziemiach Odzyskanych różnych maszyn i innych pozostałości, był ścigany przez władze, ponieważ nowi osiedleńcy ze Wschodu i Polski centralnej byliby pozbawieni warunków do zagospodarowania ziemi.

Urzędnik zgodził się. Zamiast śpiewać:

– *Żydzie! Żydzie Mesjasz się rodzi...* śpiewano:

– *Szabrowniku, Mesjasz się rodzi...*

W następnej odsłonie, po śmierci Heroda, znów był taniec i śpiew szabrownika:

Szabrownik będzie tańcował
Bo diabeł króla pochował.
Zatańczy jak szabrowniki
Gdy rabują zachód dziki ...

Odyć Kaśka, bo se łocy wywrócis

Dwie trzebunianki, będąc w Krakowie, stanęły przed wystawą u jubilera i oglądały te różne cudowności, jakie tam były. Patrzą i patrzą, podziwiają, dyskutują, wzajemnie sobie to i tamto pokazują. Pierścionki, obrączki, łańcuszki, wisiorki, różne ozdoby itd.

Jubilera już skręcało, nie mógł wytrzymać, że takie babiny tak stoją i stoją przed jego sklepem. Wyskoczył do nich i wrzasnął gwarą:

– *Odydź Kaśka, bo se łocy wywrócis!*

– *Ha, ha,ha...* – zaśmiały się, młode, jeszcze pełne życia kobietki i z gracją odeszły, okazując pogardę zwariowanemu jubilerowi.

Franuś – już w życi!

Będąc już uczniami w szkole powszechnej, mieliśmy ten przywilej, że pozwalano nam z kimś starszym chodzić na odpusty do Stróży albo do Bieńkówki, do Tokarni, a mama lub tata zabierali nas nawet do Kalwarii lub do Harbutowic.

Miło wspomina się wyprawy do Tokarni. Szło się przez Więciórkę, Więcierżę i do centrum Tokarni, gdzie była tylko kaplica, ale z cudownym obrazem Matki Boskiej.

Suma i kazanie były pod gołym niebem, ludu dużo, kramów też, karuzela i inna oprawa tych uroczystości. Na jednej takiej odpustowej wyprawie, chyba w 1938 roku, w czasie sumy stałem blisko polowej ambony. Po kazaniu, kiedy opuścił ją ksiądz, na schodki ambony weszli mali chłopcy, mający po trzy, cztery lata. Nic ich nie obchodziło, co się wkoło działo. Oni z torebkami cukierków, siedząc na schodkach, chrupali je, śmiali się, i dowcipkowali nawet dość głośno.

Wreszcie jeden zaproponował:

– *Zróbmy wyścigi, kto sypci zji cukierka?*

Wyjęli po landrynce z torebek

– *Raz, dwa. czy* – powiedział i do buzi hop!

Gryzą, gryzą aż czerwienieją – łyk!

– *Juz w życi* – krzyknął Franuś, ten co zaproponował zabawę. Wygrał.

I tak rozpraszali sobą naszą pobożność odpustową.

Geneza weekendu

Co robisz?

– *Łycę.*

To trzebuńskie słowo, oznaczające próżnowanie, marnowanie czasu, bezczynność, zrobiło dzięki Anglikom światowa karierę. W Trzebuni bowiem jak było święto, niedziela – to się świętowało. Zmęczony człowiek pracą tygodniową odpoczywał, po tym co oddał Bogu co boskie, uczestnicząc w obrzędach kościelnych

Lecz musi się odpoczywać przy pracy co jakiś czas. Siedzisz wówczas i dyszysz odpoczywając, a przechodzący sąsiad pyta cię:

– *Co robisz?* Odpowiadasz:

– *Nic, łyce,* – albo odpoczywam, a to już nie łycenie.

I tak ten trzebuński czasownik odmieniany według koniugacji: *ja łycę, ty łycys, on łycy, my łycymy, wy łycycie, oni łycą*, czyli nic nie robią, trafił do Anglii i Anglikom bardzo się spodobał. Trzebunianie byli bowiem w armii Sikorskiego w Francji a potem w Anglii w czasie II wojny światowej. Kiedy po zajęciach mieli wolne, to oczywiście *łycyli*, uwodząc w tym czasie Angielki, lub w barach sączyli angielskie brandy albo cherry. Jeżeli angielski kolega spotkał takiego bezczynnego Polaka z Trzebuni i zapytał:

– Co robisz kamrat?, ten odpowiedział oczywiście:

– *Łyce*...

Anglikom spodobało się to słowo i znaczenie tego słowa Po swojemu wymawiali je: *uikend* a w pisowni *weekend*.

W ten sposób ten trzebuński czasownik *łycyć* z angielszczyzny stał się światowym oznaczeniem wolnego czasu, czyli *weekendem*.

Łikend od słowa *łycyć*...

Anegdoty z niepublikowanego maszynopisu Antoniego Kiełbusa
pt, *Anegdoty które bawiły*
Nowy Sącz 2003

Kliszczackie Bajania

Jakzem to roz pojechoł z tatusiem z drewkami do Krakowa – godka Danuty Oskwarek

Już łod downa mękoliłem tatusia zeby zabroł mnie do świota, znacy sie Krakowa. Zowzdy mi godoł: – *Idze ta spytoj sie mamusi.* I tak zem chodził i sie pytoł, a una ino głowom kiwała i godała: – *Dockos sie dziecko tego świota i nie roz ci zbrzydnie. Jesce ześ pyrtok, a to kawoł drogi i poniewierka.* Na Kalwaryje zem chodził, bez dwie nocki sypioł bądź ka, to co bym ta w świecie nie doł se rady, ale mamusia do siela godała: –*Jesce nie cas.*

Tatuś mój, ze był chamyśny, któregosik dnia wyśtuderowoł ze wezme jojka i syr do Krakowa i mamusia nie be musiała tryźnić cas na droge do miasta. Kozoł mi jo piyknie ukochać i pytać zeby się zgodziła. Jak tatuś kozoł, tak w łocymiyniu zem zrobił. Mamusia ino sie roześmioła i pedziała:

– A niekze wom ta bedzie! Jejdze do tego świota, w chałpie cie nie ucymom, ino mos sie tatusia pilnować!

Rzuciłem sie ji na szyje i tak straśnie zem ji dzienkowoł, a potem w dyrdoka poleciołem do tatusia, zeby się mu pokfolić ze jade! Za nic ni mogłem usnąć te nocy, cały cos myślołem co w tym świecie uźre i jak bedo mi chłopcyska zazdrościć. Zarosicki kie ino słonecko wyźrało na niebio, wstołem na równe nogi bo kciołem cym pryndzy sie poodbywać z robotom. Gnój zem wykidoł, słomy nazwoloł, trowy królikom narznołem siyrpem i jesce mamusi miętki nazbiyrołem bo godała ze bedzie zalewajke na łobiod gotować. Juz miołem lecieć do rzyki, nogi opukać bo nie wypodało w ucioranych do świota jechać, kie mamusia zawołała zeby śniodać. Nacyniła nom zociyrki i poloła skforkami ze spyrki. Zośka, starso ody mnie o dwa roki, kie usłysała ze bede syr i jojka panickom sprzedawoł, zarosicki poleciała do lasu na borówki zebym ji zabroł na torg, bo kciała se jakiego grosa zarobić.

Dopiyro co my śniodali a juz było połednie. Konie drypciły w miyjscu kie by i une nie mogły się dockać. Mamusia nastrojiła mi jojek cało opołke i śtyry syry wyowijane w lniane smatki. Naprzykozywała ile mom za to zarobić, ze mom nie spuscać z cyny i dobrze rachować kie mi bedo płacić. W zawiniontku dała mi jesce pojde chleba i pore kamienioków z łuńskiego łodpustu, zebym se drogom muldoł kie mi sie be cniło. Śródłowiecyrz mieli my wyjyzdzać kie przysła Zośka, ledwo zywo, sfurcano i cyrwono jak burok. Rozbecała sie, ze my na nio nie kcieli pockać. Mamusia jo wziyna na podołek i cosik ta do nie pogodała, ze ta sie uśmiyrzyła, gymbe optarła, dzbonek z borówkami mi dała i jece do chaułpy po półlitrzok poleciała zebym mioł cym łodmierzać. W kawołek papieru z jedne strony cymsik zapisany owinyła mi giergonije, piełun, boże dżywko, corne ziele, pszynice i owies bo godała ze w niedziele jes Matki Boskie Zielne i paniusie bedo brały do świencenio. Do ucha mi pedziała ze jak piyknie sprzedom to tyz cosik z tego bede mioł i moze nawet na diobełki na łodpuście mi starcy.

Pod Kolącką zaczymała nos krzesnomatka od Jarosa, zebymy jo wzieni do miasta, bo mo dlo jakisik sklepicki syr i mlyko, a ze gorko straśnie to za cem by zasła to by sie ji to mlyko skisiło. Ledwo na wóz sie wgramoliła to zacyna trajkotać, tak ze sie ji gymba nie zawiyrała. Kie usłysołem jak godo o Kaśce od Frańcuza to usy zem nastawił, bo ciekaw zem był cóz to się porobiło ze dwa tyźnia je nika nie było widać. Powiem wom ze z Kaśkom to nie roz po krzokach my sie doś wywłócyli. Jak na dziope to po drzewach smyślnie umiała się styrmać. Kozdy chłopok kcioł mieć jo w swoi bandzie i nie wiym cymu, ale ku moi uciese zawse wybiyrała mnie. Krzesnomatka sumintowała sie ze kie Kaśka cekała przy drodze na tatusia z lampom, bo po ćmoku z torgu wracoł, jakisik boginki cy mamuny zwiedły jo nad rzyke, tak ze do beła wpadła. Jakosik udało się i otowić i do chałpy wrócić ino tak sie zlonkła ze od tego casu nika nie pódzie. Jesce od te zimne wody zakiepiercyła i cliwo krzypała, ze babka postawiła ji bańki. Staśnie zem sie tom Kaśkom stropił i ni mogła mi una wyleź z głowy.

Krzesnomatka jesce cosik zacyna godać o polach i labidzić ze ji mało zapisali a kie skończyła spytała tatusia: – *Je coz ta u wos więcy słychać?* Ale tatuś juz ji nie pedzioł, bo zajechalimy do miasta i krzesnomatke my tam ostawili.

Kie na wóz my jo brali to łobiecywała, ze na tuke z krzesnoojcem i dzieciskami przydzie i roz dwa ziymnioki wykopiemy. Kie z wozu ślazowała, to ino *Bóg zapłoć* pedziała i tela się uwijjoła ze jesce pół mlyka wyloła. Cosik tam pod nosem pomrucała, zapaskom zawinyła i tela my jo widzieli. Potem tatuś mi ino pedzioł, ze una to tako mondro, jak salomonowe gacie i z nie strasny bajtlok.

Nad miastem tatuś uciapoł mi pore jabłek, a ze były jakiesik nieźrałe, takie małe psiorki, to cosik mnie po brzuchu zacyno gorgolić. Przybocyłem se ze mom jesce od mamusi pojde chleba. Urwołem se kowołek i reśte dołem tatusiowi. Na niebie sie całbaniło i kapke zacyno romolić, ale wnet sie przewidniło i wysło słonecko. Za nami i przed nami jechały wozy, a kozdy doładowany tak, ze konie juz ledwo sły. Tatuś godoł, ze tak jes kozdego tyźnia. Co jakisik cos, którysik wóz sie zaczymoł

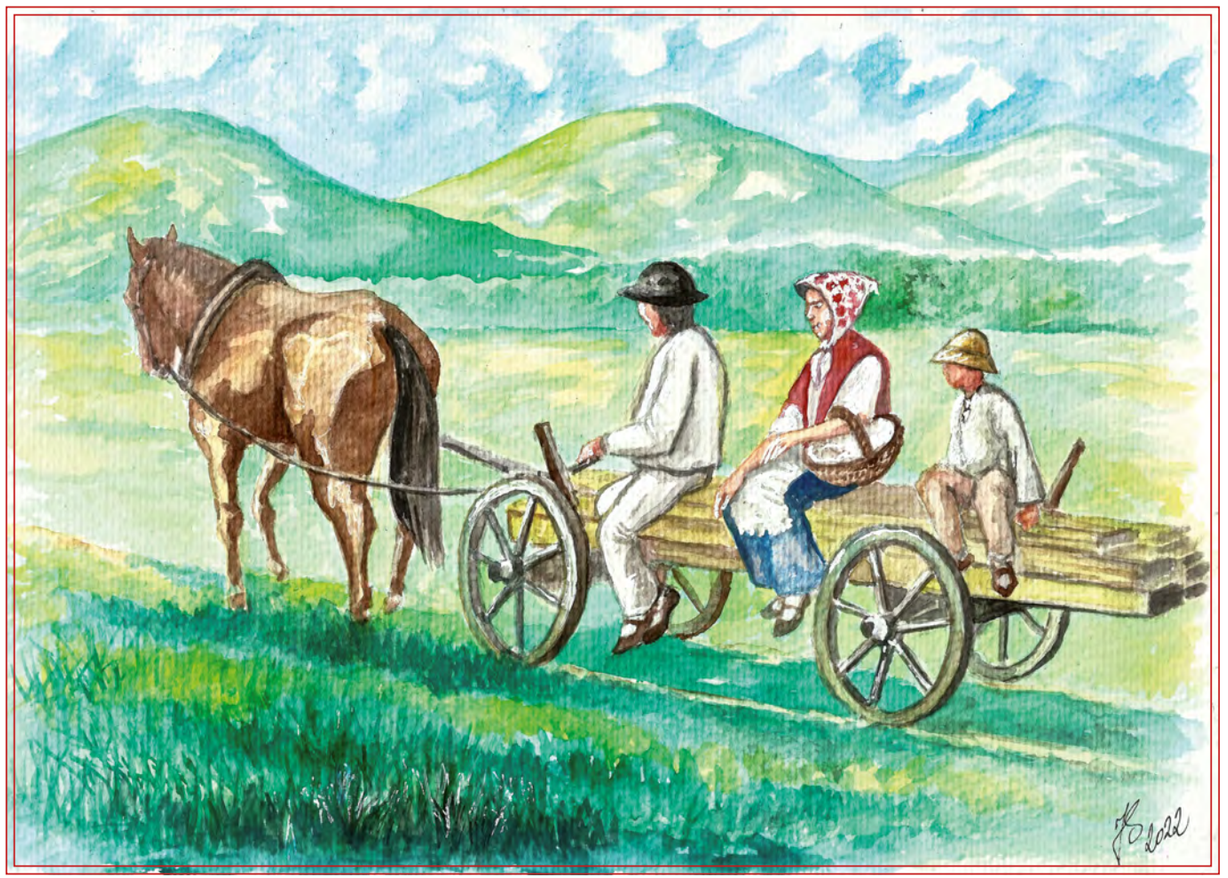

i zabroł jako krzesnomatke z tobołkami na plecach, któro powłócyła nogami do tego świota za jakim grosem. Juz sie ćmiło kie zajechalimy pod karcme, zeby koniowi dać dychnoć. Tatuś zamówił mi rosół z miensem wołowym i pocukrzono herbate, a sobie wzion kiske. Łocynta mi sie same zawiyrały, nie wiem cy ze zmyncynio cy łod tego dymu co unosił się po cały karcmie. Chłopy holofiły, rocyły sie piwem, i kurzyły fajecki. Lygłem se w kończie i łodziołem tatusiowom bajom. Ledwo zem łocy zamknon a juz cza było wstawać i jechać dali. Pod Mogilsko Góre jeden z drugim sprzągali konie, kie by te wyładowane wozy jakosik wytocyć. Sprzążnikiem tatusia był Jantosek od Jarosa. Byli tyz folajtery co stoli przy drodze i za drobnom opłatom użycali swoik koni. Tatuś ni mioł tak straśnie doładowane, bo godoł, ze lepi mni sprzedać a za lepse piniondze, a tyz konia nie zmordować, bo do roboty w polu jes poczebny.

Siedziołem se na wozie i łobziyrołem tyn świot. W końcu zem uźroł Wisłe i statki jakich nika zem nie widzioł. Na wzgórzu zaś górowoł piykny Wawel. Tatuś nieroz mi łopowiadoł ze mieszkali tamok wielcy władcy i królowie. Babka zaś godała, ze w jamie pod wzgórzem był strasny smok, którego w końcu pokonoł szewc Skuba. Dojechalimy do te Florencji cyli na Kleporz. U nos same drewniane chaupy, a tutok wielkie murowane kamienice z łoknami, zeby ik nie zlicył. Tela ludzi na roz to zem ino na Kalwaryji widzioł. Tatuś zaprowadził mnie do bab, ka handlowały i kozoł nika sie nie rusać i ze un przydzie po mnie jak pozałotwio jenteresa. Przekupki cupały jedna koło drugie i kozdo ino wyziyrała swoje panicki kie przydzie i uwolni jo łod tego towaru, który z chałpy przyniesła. Siodem se między nimi ka było wolne miejsce i dopiero późni zem uźroł za sobom figure Matki Boskiej Niepokalenego Pocyńcio.

Ledwie co widniało a juz było telo gorko, ze pot ciurkiem mi lecioł spod słomianego kapelusa. Łozułem kierpce zeby nogi mi troske dychły i cekołem na te panicki kie i ku mnie przydo. Troske mi te kfiotki zmarkotniały, zreśtom i tak by nik ich nie kupił bo kfiociorek było pełno i nie taskie bukieciki miały na sprzedaż. Przekupki bojcyły i przekfoloły się, któro mo lepse mlyko, i który krowa się

lepi doi. Wbijały tyz łyzki do śmiytany i sprowdzały cy styrco na storc. Ziorały jedna na drugo, a kozdo kciała ino dołapać jako panicke i wrazić ji co z chaupy przyniesła. Było i pore naskich góroli z kficołami. Miastowe paniusie piyknie wyubirane łaziły i przebiyrały w tyk toworach. Kie by moja mamusia miała takie łodzienie, to tyz by wyglondała jak te paniusie, bo chocios urobiono była, to urodom przewyzsała nie jedno z tyk, co to w polu nika nie robiły. Multołem se kamienioki i cichutko siedziołem pod tom świentom figurom, a tu zaros jak jedna z drugom nie zacnie sie sfarzyć.

Tela sie udrowały ze az zasipnyły. Pozlatywały sie inne ciekawskie baby, ostawiając cały swój dobytek w tyk koszyckach i smacinach. Ktosik je w kuńcu porozdzieloł, ino juz ni miały po co na panicki cekać, bo wszystek jojka do imyntu potukły, kie za włosy zacyny się combrzyć i po zimi tolać. No dyć to mnie uratowało, a moze i świento figura, co nade mnom cuwała, bo paniusie zacyny i ku mnie przyłazić i bez targowanio kupować.

– *Biedna sieroto wezme kope jajek, a śmetany chłopczyku nie masz?*

– *Paniusiu śmietany ni mom , ale mom borówecki dzisiok zbiyrene.*

– *To wezmę z litr tych owoców.*

– *Paniusiu kochano mom tyz nojprowdziwse ziela, na bukiet dlo Matki Boskie. Wystarcy do wody wrazić i na niedzielo bedo jak sie pacy.*

– *Wezmę i ten bukiecik.*

Straśnie mnie te panicki żałowały, zem jo sierota bidno i ze butów nawet ni mom, a jo nic zem im nie godoł, ze tatuś zarosicki po mnie przydzie, a buty mom, ino gorko mi było i się łozułem. Tatuś tyz zaros przysed i uciesył sie, ze jo juz się z tym handlem połodbywoł. Poślimy jesce kupić mamusi ogórki do kisynio, a ze sporo tatuś zarobił, to wzion ji jesce chustecke tybetowo. Mamusia we świynto sie wyryktuje i be jak te paniusie z wielkiego świota. Kie wracali my do chaupy, tatuś mnie spytoł jakze mi ta było na tym torgu i cy jesce pojade z syramin do Krakowa. Pedziołem mu, ze w chałpie roboty sporo i ktosik przecies tyz krowy musi paś.

Zaśmioł sie ino i juz wiyncy o nic nie pytoł, bo pewnie ta wiedzioł cym pochnie tyn cały babski handel. Mi to juz nawet tego świota nie kciało sie łobziyrać i cało droge z Krakowa zem przekimoł.. Powiem wom ze wszyndzie piyknie ale w swoji chałpie nojlepi.

Co i ka strasyło w Trzebuni – godka Grzegorza Ostafina

Na pocontku, jak Pon Bóg stworzył świat a potem Adama i Ewe, to wszysko na ziemi było dobre, piykne i spokojne. Ale straśnie to nie podobało się diabłu, który zeby zrobić Panu Bogu i cłowiekowi na złoś, rospuścił po całym świecie rózne złe stwory. Paczyły one ino zeby cłowiekowi jakosik dokucyć, albo mu cosik na złoś zrobić. Nie inacy było tys u nos, w Beskidach. A ze w Trzebuni i okolicznych wsiach mieszkają górole kliszczacy, ludek pobożny i bogobojny, to tym bardzi to złe im dokucało. Ludzie się ik boli i ik unikali, ale nie zawse się to udawało, bo na kozdym kroku cyhały na nik jak nie opentane przez diabła carownice, które rzucały uroki i zajmowały się cornom magiom, to znowu strasyły ik boginki, co to były dusami umarłyk grzysnyk kobiet, które plątały się po świecie, a godajo ze porywały małe dzieci i mozna je było uźryć nad potokiem, jak prały swoje smaty.

W lesie to nie roz można było spotkać mamune, i jak tako mamuna omamiła cłowieka to tak móg się zatracić, ze choć był blisko, to ni móg trafić ku chałpie

– nie roz i cało noc. Jesce gorzy było na smentorzu, bo tam można było uzryć szczygonia, takom niekrzcono duse, co to wyłaziła z grobu w ciele umarloka. Boli się tys ludzie płanetnikow , stworów co to siedziały na chmurach i rządziły mgłami, dyscami i burzami. Płanetniki schodziły nie roz na ziemie, a ci, co ik widzieli, godali ze so podobne do cłowieka ale strasnie chude, wysokie i cały cos mokre. A to pewnie przez to, ze siedzo na chmurak, albo może przez to ze płanetnika ulepił diabeł z błota. Było to zaroz po tem jak Pon Bóg ulepił Adama z gliny. Duzo było tys innyk diabelskik stworow: dusiołki, zmory, topielce i inne, któryk się ludzie boli.

Ale były tyz takie miejsca, co ludziom strach było iść, bo godali ze tam strasy. Opowiem wom o takim miejscu w Trzebuni, opowiadała mi o tem moja święty pamięci babka, a jej to pewnie opowiadała jej babka, bo to było straśnie downo. Nie wiadomo cem trzebuniany zeźliły jakiegośik płanetnika ze posłoł nad Trzebunie tako strasno burze i ulewe. Loło i loło przez pore dni i nocy. Ten nas mały potocek Trzebunka, co to normalnie można by go przeskocyć na jedny nodze i to do tyłu, abo jakby się kto przysadził to by go i całego wypił, zamienił się w tako rwonco rzyke, ze niscył wszystko, co spotykoł na swoi drodze. Podmył tys brzegi małego kościółka, co to stoł na roli Łatasowy. Kościółek osunon się do wody i porwany przez rwonce fale rostrzaskoł się o brzegi. Trzebuniany straśnie nad tem rospacały, bo już nimieli się ka modlić. Ale Trzebuniany to ludek pobożny i bogobojny, to se umyśleli ze postawią nowy kościół i to murowany. I jak umyśleli tak zrobili. Pomału, pomału wystawili nowy murowany kościół, a na wieży zawiesili nowy dzwon, bo ten ze starego kościoła podobno znaleźli kasik na Rabie w Drogini, ale już go droginiany nie oddały.

Eeeee.. straśnie się trzebuniany ciesyły z nowego kościoła, ino zeźliło to okropnie diabła jak to uźroł. Ni móg paczyć na radość trzebunianów i umyślił, ze musi zburzyć trzebuński kościół. Polecioł hen nad Tatry, porwoł taki strasny kamień i juz go nios zeby go cisnąć na kościół ze scytu Kotunia, ale wtedy na kościele

obezwoł się dzwon, bo organista zadzwonił na Anioł Pański. Po cały dolinie rozniosło się Pozdrowienie Anielskie. Smreki i jełki na scytak Gronia, Parszywki, Balinki, Trzebuńskie Góry i Kotunia zaszumiały radosnym *Zdrowaś Mario... Zdrowaś Mario...* Tego juz dlo diabła było za duzo, w jedny kwili utracił swojo diabelsko moc i puścił ten kamyń na ziemie. Kamyń rospod się na poł na Pękali, a diabeł zapod się pod ziemie, a tam, gdzie spod, od razu zrobiły się mokradła i bagniska. Ludzie nazywajo to miysce Mocury i do dziś bojo się tam chodzić, bo godajo ze tam strasy. A dzwon na trzebuńskiem kościele dzwoni do dziś i odganio wszyskie złe moce od nase wsi...

Trzebunianie na odpustach – godka Doroty Lech

Powiem Wom, ze z łodpustami na wsiak downi to inacy bywało jako dzisioj. Trza się było wceśni przygotować, zadbać o sprawy duchowe, kościelne, a i w chałpie ryktowacki było straśnie. Łojcowie nie popuścili, cobyś bes spowiedzi był na łodpuście. Jagze by to zrezygnować z darowanio kory docesne za grzychy, jagze by stego nie skorzystać. To tyz młodzi mruceli, ale do spowiedzi śli. Dzieciska dugo przed łodpustem się sykowały. Piniądze zbiyrali, co by było na cukierki, szczelnice i na karozele. Zbiyrali borówki, maliny, casem i grzyba znaloz – z letnikami handlowali i jakiegosi grosa, kozdy przed łodpustem mioł. A jesce w dzień łodpustu matka wraziła którąsik złotowke – *Ino, zeby łociec nie widzioł*, a potem posed po prośbie do łojca, tyn tyz cosi doł ale godo – *Matce to się zaś nie kwol*. Starse chłopcyska pryndzy łojcu cosi pomogli zeby grosa doł, przecies trza się jaki dziywce przypodobać, może ji serce z piernika kupi, abo kfiotka na szczelnicy uszczeli, przecie w wojsku dwa lata suzył, to i szczylać umiy. Jak jako ładno dziywka na karozeli siadła, to pkoł co sił w renkak, ani go prosić nie trza było. Dziywki tyz zawse dbały, coby matula sprawiła na łodpust jako nowo bluske, a moze i spodnice. Kazdy na łodpust kcioł mieć co nowego. To była tako niepisano tradycyjo o ktoro dbały i starse baby i młode dziywuchy, te biydne i te bogatse. U kościoła baby wiły wiyńce z jełki i bukszpanu, kukardy biołe i niebieskie wionzały, ubiyrały kszcielnice, zamiatały, trowe targały koło parkanu. Brzyg chłopy siekły, baby grabiły, coby się jegomość proboszcz przed zaprosonemi ksiendzami z ościennyk parafi nie wstydził za gospodarownaie.

W chałpie tyz uwijacki było bąć wiele, bo na łodpust to się zawse rodzina i znajomi zjyzdzali, dzieciska stond i owond do rodzinne chałpy na łodpust jechali. Trza było wszystkie konty wymyć, powały połomiatać, coby zodne pajencyny nie wisiały. S pierzyn posymować łowłocki – wyprać, a pierzyny i poduski na zyrtce wywiesić, by się wywieczyły. Koło chałpy tys cza było trowniki posprzontać, brzygi powysiykać, a jeden się naddajoł ponad drugiego. Na łodpustowy obiod cza było casem i dwie kury zabić i rosołu nagotować.

W dzień łodpustu na ranno sła matka, zeby potem łobiod ugotować jak przydo po sumie. Po sumie, jak kramy łobeśli, na karozeli pojeździli, na szczelnicy poszczylali, to się ku chałpie zbiyrali bo i łod sniodanio troche casu mineno a i co dobrego by się zjadło. Popołedniu, jak pogoda była, to stolik pod jabłonke wynieśli, bukte z krusonkom zjedli, kompotem popili – i co tu dużo godać, zawse gorzołka była. Młodzi paczyli, coby się jus ściemniało, bo pod Łoskwarkiem scena z desek zbito, a i strażacy jus pipe do becki s piwem nabili. Kozdy kroku przyspiyso, bo spopod Kołącki słychać jak Bolek na skrzypcak wywijo, Jasiek na basak, a Henryk z Jozkiem tyz nie gorsi i polki wygrywajo. Jak pogoda była, to do ćmoka na polu siedzieli. Łopowiadali stare dzieje, śmioli się, na łodległoś słychać

było, jak baby kwicały. Podojodali co było, gorzołke wypili. Inni na łodpuście korkof nakupili i szczylali, ze ino kury gdokały a psy ujodały. Roz taki jeden podpił se trosecke, na trowie se legnął i się mu usneno. Słonecko prościutko na niego świyciło. Jak to było, to mało kto wiy, ale w kieseni mioł packe korkof. Cicho było, słychać było ino skądsi śpiyw i na harmoniji granie. Jednom rozkom jak nie piepsznie, jak nie rombnie. Zerwoł się chłopok na równe nogi i w niepamienć uciyko . Zabocył se o korkak w kieseni i myśloł ze wojna, tyle był przygupnienty. Dar się i uciekoł as pocuł piekoncy ból nogi. Wiycie, portki mu potargało, noge łoparzyło, Bóg doł, ze mu cego innego nie zdespeciło. Tak mu się łodpust skończył.

Nojwienksom atrakcyjom, ale i nie byle jakiem wyzwaniem, było pielgrzymowanie na łodpust Matki Boże Skaplyrzne do Censtochowy. Tam to sie jus zbiyrali silni, nie chorowici, bo w drodze sześ dni to nie byle jakie wyzwanie. Łod wiekof trzebunianie, jako jedyni z okolicy, pielgrzymowali w lipcu. Nojpiyrw przes wiele lot śli z Krakowa, a dopiyruto łod niedowna z Trzebunie. Była to łokazyjo do wyjścio z chałpy na calutki tydzień, bo dochodzili na Jasno Gore piytnostego lipca , a łodpust był szesnostego. W drodze modlili sie, śpiywali przepowiadane pieśni, co to w spiywnikak spisywali nojstarsi i przekazywali se z pokolenio na pokolenie. Cały zapas jedzenio i łobranio nieśli ze sobom, to i ni mogło być tego duzo, bo by nie doniesli. Zawse jakisik syr i jojka na piyrse dni były, potem suchsom bukte zjedli a i w dródze cosi do jeścio trza było dokupić. Spali po stodołak na sianie, a nie zawse znalyś noclyg było łatwo, ale i to nie zrozało staryk pontników, co rok rocnie na łodpust Skaplyrzne sie wybiyrali.

Trzebunianie – moze z racji tego, ze blisko do Kalwaryji, a może z racji tego, ze na Kalwaryji grała naso orkiestra, to, jesce ło nasem łodpuście nie zabocyli, a jus się szykowali na trzydniowy łodpust na Wniebowziencie Matki Boże. Baby się sykowały, piekły kołoce, bukty z krusonkom coby na droge były. 13 siyrpnia wcas rano się wybiyrali. Śli gromadnie dzieciska s przodu, potem baby z babami, a na końcu chłopy. Śli wczas rano godzinki spiywali a po dziole

sie roznosiły maryjne pieśni – *Spiywo Ci słowiczek na rajskim dworze*. Śli przes dzioł do Lanckorony, a stamtond to już widać kaplicki na Kalwaryji. Noclyg znaleźli, smaty tam dostawili, jakiesi jedzenie ku sobie wzieni i pośli w strone domku Matki Boże, skond się zacynała procesyjo zaśniencio. Po procesyji śli z powrotem na noclyg. Już się poodnajdywali znajomi i jus się razem wracali. Spali rożnie: w stodołak, kasi na sianie, na strychak. Jak się dobrali dowcipnisie i kawalorze, a z niemi starsi pielgrzymi, to i zwady były, bo ci kawoł w noc broili, nie dając innem spać. Te nocne breweryje to się rano łodbijały – spać by się kciało, a tu o szósty spod klostoru zacynają się droski do Pana Jezusa. Jageś w nocy broił – to trudno, trza wstać. Łocenta przetarli, trombke pod pazuche wzieni i pod klostor. Dziesionto, wpoł jedynoste – ranne drozki się kończyły, to był cas by wejś do Kaplice, Matce Boski się pokłonić. Popołedniu to już i wiency trzebunianów dosło na droski popołdniowe. Trzeci dzień to nojwienkse uroczystości. Procesyjo spod grobku Matki Boże do klostoru, gdzie nojwożniyjso suma łodpustowo nojczęsci na polu, bo i ludzi było sporo. Trzebuńsko łorkiestra gro niedaleko figory wziebowziente Matki Boże, to trzebunianie dumnie podnoso głowy i coroz głosni szepco tak, coby inni słyseli – *To nasi, to nasi*. Dzieciska się kcą przepkać jak nojblizy, coby asysty uźryć, bo to niecodzienne widowisko. Po sumie wracają się, w Lanckoronie na rynku przystano, piwo dlo pokrzepienio wypijo i ku chałpie trza się zbiyrać, bo wiecor zastanie w lesie.

Wiycie trzebunianie to narod pobożny i na inne łodpusty chentny do wyjścio. Nieroz była to jedyno rozryfka w roku, zeby się z chałpy wyrwać. Ale były tyz i pobożne ciotunie, co zodnego łodpustu ani we wsi, ani w okolicznyk wioskach nie łopuściły. Zawse chodziły na łodpust do Kalwaryje, a zaraz potem jechały na łodpust Podwyzsenio Krzyza do Mogiły. Roz się zabrały furmankom do Krakowa, a ze woźnica sprytny był, powoził dobrze, konie drycne nie zmordowane, to i pryndzy dojechali, jak myśleli. Jechoł na Stary Kleporz i tam ik wysadził. Miały jesce sporo casu do uroczystości, totyz godo jedno do drugie: – *Poćmyz Hanka kawołecek Dugom to cosi uźremy* – godo Rozia. No i uźrały – u rzeźnika na hoku kiełbasy wywendzone, piykne. Ślinka jem cieknie, zjadło by się, ale w torbie placek co jem w chałpie dali jes. Prowda ze suchy trosecke. Jesce kawołek syra gliwionego, co jem bapka zgotowała. Smierdzioł na łodległoś, ale piniendzy w chałpie nie było, to wzieny co dawali i nic nie godały. Ale teroz nie idzie się łobyć smakiem.

Godo Rozia do Hanki:

– *Idze ty – boś bardzi wygodano i kup dwa ślajtki kiełbasy. Ino pamientoj, zeby ta była świńsko*.

Wesła Hanka do sklepu, paczy. Jes piykno, a pochnie na łodległoś. Podesła sprzedawczyni i tyz grzecnie się pyto:

– *Co podać?*

– *Eeeeee....* – Hanka się jonko – *jo byk kciała dwa ślajtki kiełbasy, ino paniusiu zeby świńsko była*.

Ta paczy, widać nie wiy, o co ty chodzi:

– *Nie mamy świńskiej, mamy tylko wieprzową* – odpowiada ze zdziwionom minom. Moze myślała ze to mo być z dzika??

– *Eeee takie to jo nie kce* – i niepociesono wysła ze sklepu.

Rozia paczy, a Hanka idzie prożno.

– *Coś to nie kupiła te kiełbasy?* – pyto zawiedziono.

– *No nie kupiłak , bo była ino wiepszowo, takie to nie bedemy jeś*.

Rozia załamała rence...

– *Hanka przecie to to samo ino po miastowemu!*

I na schodak siadły, syr gliwiony zjadły, buktom suchom przegryzły, bo jem wstyd było drugi roz wchodzić. I do Mogiły posły.

Tak to i łodpusty dawały powód do zabawy, rozryfki, z chałpy się rusyć, a i coś dlo Boga zawse dostało. Cosi dlo ducha a i dlo ciała – gorzołki wypili, na zabawe pośli, potem do poźna po wsi łazili śpiywali, psocili. Dziywki się śmioły

po krzokak, kwicały i godanio było wiele. Korzyś tys z tego była tako, ze chałpa była roz w roku porzomnie wysprzontano, a i dzieciska lepi jak na co dzień zjadły. I znowu cza cekać rok na łodpust, zeby chłopok dziewuse kfiotka na szczelnicy uszczelił i serce z piernika kupił.

Zrenkowiny, cyli jak to downi z żeniacką bywało – godka Krzysztofa Bednarza

Łopowiem wom ło tym, jak ludzie downi zyli w Trzebuni. Tak w skrócie to zyli łod chwili narodzin az do śmierci, cyli trochę tak jak i teraz. Ale jako ze zycio nie do się przezyć w skrócie, ino jakosik tak scegółowo, to w takim przypodku widać sporo różnic między tym co było, a tym co jes.

Taka na przykłod żeniacka. Co to sie downi chłopoki nachodzili na zabawy, nabaciarzyli i nawywijali, a dziywki nałoglądały w kościele, jaz je syja bolała, za co bardzi poradnym kawalyrem. Zanim taki jeden cy jedno mogło powiedzieć ze toki łun i tako łona mi sie podobo i widzi. A potem było zakochanie i miłość, i zdawać by sie mogło, ze to jus, ze ślub, ze scenście. Ale nie. Starzy ludzie godali, a było to poparte niejakim doświadceniem, ze miłość to sama przychodzi, a najwozniyjse to jest, zeby sie dogodać, pocynić ustalenia. No i dogadywali sie łojcowie i faktorzy, i ustalali, i nieroz sie kłocili. Bo to trzeba było ustalić, co kto i komu we wianie

w przysłe małżeństwo wniesie. Łojciec młodym za nic w świecie nie kcioł łoddać najlepsych pol, bardzi by przystoł na te na grąpie albo na brzysku, ka ino kamień sie rozdził, a zimniok ani pszenica to juz nie. Mioł przecie tyz inne córki które musioł wyposazyć i nijak do niego nie trafiało, ze przecie mogą iś do zokonu. Bo i tam bez wiana niestraśnie przyjmujom.

Trzebuńskie przysłowie godo ze: *Wydać córkę za mąż to jakby fure gnoja łod chałpy wywiyś w pole*. Jakosi tam łobietnica plonu niby jes i kozyść, ale wceśni trzeba sie straśnie umencyć i łokonbinować. Tak tyz myśloł łojciec młode i dropoł sie po głowie. Bo to i pole, i kawołek lasu i krowe, nojlepi cielną, i pierzyne, i skrzynie, i łoktuse i gorki– straśnie tego wszystkiego było duzo. A ci łod młodego wcale nie mieli zamiaru popuścić, bo Marena, Helka cy Zośka moze i łodno, i robotno, ale przecie to nie wystarcy. No i dogadywali sie i casem nijak ni mogli dojść do porozumienio. I bywało ze casem sie rozchodzili pokłoceni i bywało ze młodych trzeba było rozgonić, prawie ze siłą.

Proste i racjonalne chłopskie myślenie podpowiadało, ze moze i lepi łozenić syna kasik na roli, bo to mozna by było połącyć gospodarki i z łośmizny, zrobiłaby sie cworcizna grontu, abo przecie nie jes byle co... Co z tego, ze dziywka nieurodna? Inne przysłowie godało ze *dobry powinien zenić się z dobrym, a buła z bułą*, cyli biydny z biydnom, a bogaty z bogatom.

Był roz w Trzebuni taki Jasiek. Baciarował na prawo i lewo w Trzebuni, i w Strozy, i na Wieńciorce i w Harbutowicach. Wybiroł i przebiroł i co tydzień z inną bawił sie na zabawie. Nie roz matka mu godała – *Je przecie łozeń sie, zyjze jak Pan Bóg przykozoł*, ale un sie ino z tego śmioł. A cy mu to źle było? A cy to jego wina, ze mu się nie tylko jedna podobo, ale wszystkie? Oj, nasłuchała sie ta matka przy spowiedzi u ksiendza, nasłuchała. A Jasiek baciarował i chodził z kolegami łod jedne do drugie. A w kompaniji jakisi tak raźni, nieroz wypili to, co mieli już po drodze i do przysłego, albo potencjalnego teścia śli jakoś tak niehonorowo, nieroz tyz zachodzili nie tam, gdzie se pocątkowo zaplanowali.

Bywało ze dostali bitki kasi miendzy stodołami, na Bieńkowce, albo w Pcimiu, ale części to uni byli górom. Nieraz w ramach popisu wynosili karę na kalenice chałpy, zatykali komin, albo tak podbierali drzewa, ze stos ten sie som zwolił. No ale lata mijały i koledzy jeden po drugim w końcu się pożenili. Rosły im brzuchy z dobrobytu, a jednoceśnie łysieli ze zgryzoty i stropieno. Jasiek censto sie z nich w karcmie śmioł i żartował. Ale i w końcu i un zacon łodcuwać jakieś dziwnom tęsknotę. I kie namnieniło mu sie trzydzieści roków, a matka z ojcem zagrozili ze gospodarke przepiso na siostre, w końcu sie zdecydował. Zacon twardo chodzić do Kaśki, na tyle twardo, ze zaraz cosi nawywijoł i trzeba było iś do ksiendza na zapowiedzi. Ksiondz sie uciesył jak go uwidzioł, ale zaraz tyz zeźlił. Jasiek wymyślił se, ze może jes tak w prawie kanonicnym ze mozna mieć dwie, albo trzy żony i takie tys pytanie zadoł ksiendzu. Ten zrazu kcioł go wyzucić, ale chytko się łodbocył i powiedzioł: – *Przyjdź do mnie miesiąc po ślubie, a wtedy pogodomy.*

No i rzecywiście po miesiącu Jasiek przysed, ale jakiś taki nie wyraźny i zmartwiony. Łokazało sie ze Kaśka starcy mu i to az nadto.

Zapytacie może, jak to downi w Trzebuni bywało? Była miłość, ludzie sie zenili, umierali, duchowość i obrzędowość przenikały się ze sobą, ludzie zyli w zgodzie z rytmem świąt kościelnych i pór roku, sioli i zbierali. Żyli, tak, jak i teraz, ale jakoś wolni i pełni.

Słowniczek:

bajtlok – osoba opowiadająca zmyślone historie
beło – głębsze miejsce na rzece
breweryje – niestosowne zachowanie
całbanić – chmurzyć się
chamyśny –pomysłowy sprytny
chytko – szybko
cliwo – brzydko, strasznie
combrzyć – ciągnąć za włosy
ćmiło – sciemniało się
do imyntu – do reszty
drycny – energiczny
drypcić – przebierać
gorgolić – boleć
gorko – gorąco
gruba – piwnica
labidzić – narzekać
łotowić – odżyć, odzyskać przytomność
łozuć – ściągnąć buty
łuńskiego –zeszłego
markotny – smutny
mękolić – nudzić
na storc – pionowo
naski – nasz
połodbywać – odrobić się
posymować – pozdejmować
pyrtok – mały chłopczyk
romolić – drobno padać
sfarzyć, udrować – kłócić się
sfurcano – zdzyszana
smyślny – pomysłowy
ślajtek – kawałek
śródłowiecyrz – popołudniu
tryźnić – tracić czas
tryźnić cas – tracić czas
uśmiyrzyć – uspokoić się
w dyrdoka – szybko
w łocymiyniu – w oka mgnieniu
wodzianka – zupa z miętą i ziemniakami
wyśtuderować – wykombinować wymyślić
zakiepiercyć – zachorować
zasipnąć – zachrypnąć
zlonkła – przestraszyła się
zowzdy – zawsze

Wieści ze świata

Piękne przykłady. Poczciwa i trzeźwa gromada

Tom VIII. Nr. 1.
1. Stycznia 1863.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.
Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.
DZWONEK
PISMO DLA LUDU.
Boga, dzieci, Boga trzeba, Kto chce żyć być swego chleba.

Jest tu jedna wieś w górach Trzebunia, co się okrutnie pięknie gromada w niej popisała, a to tak było.

Jak tam nastał przed dziesięcią laty nowy xiądz pleban, to widząc że we wsi dosyć boskiej obrazy i o pijaka nie trudno. tak sobie pomyślił, aby wstrzemięźliwość duchem między ludkiem zaprowadzić. No i wziął się do tego. - Ale choć to wszyscy kapłani nasi dobrodzieje, chcieliby wstrzemięźliwość zaprowadzić, i pięknie do ludzi przemawiają, i boskie słowa opowiadają, to w niejednej parafii jak groch na ścianę rzucił. Sługa boski, kapłan, choćby i piersi wygadał, jak ludzie zatwardzieli w grzechu, to i nic nie pomoże, i po próżnicy jego praca, a ludzie jak pili tak piją.

Ale tam w tej Trzebuni widzicie, jakoś Pan Jezus Miłościwy inaczej zakierował, że się to ziarnko wstrzemięźliwości od razu przyjęło, i nie wyszło roku, a nie było pijaków, i co lepsze, że nawet żyd karczmarz, widząc że tu nie ma co robić, wyniósł się z parafii, potem się i karczmisko zwaliło, no i patrzcież minął jakiś rok, że o szynki ni o karczmie nikt nie pomyślił. Zaś ludek poczynał się dorabiać grosza i dobytku, i choć ta prawda dostatku nie ma, bo tam jeno z tego· żyją, co sobie jakowym przemysłem zarobią, kiedy wożą drzewo do Krakowa,

albo znów płótna naprzędą i sprzedadzą; więc i drożyzna i podatek wielki, tak że trudno o dostatki, ale przynajmniej ostatni krajcar nie szedł na gorzałkę.

Aż to przeszłego lata przyjechała rewidować te dobra dziedziczka, ale to pani nietutejsza, gdzieś tam aż z za Wiednia, i duchem kazała aby w każdej wsi dla porządku niby była karczma. Rządcy jużcić uczynili co dziedziczka kazała, poczęli stawiać karczmy, to wystawili i w tej Trzebuni, gdzie jej długo nic było. O mówię wam, jakem się o tem dowiedziała, to mi się żal tej wsi zrobiło, bo sobie myślę: człek nie święty, a jak będzie miał pokusę, toć się i do złego łatwo wróci. Ci poczciwi górale, co poczęli tak pięknie Panu Bogu służyć; któż wie czy nie popsują się jak będą mieć więcej sposobności, co zły duch im szepnie do ucha, i bądź zdrów, będzie po ich cnocie i rzetelności.

No i tak jakem się jeno o tem dowiedziała, tom się trapiła, bo moiściewy nic mię tak nie trapi; jak kiedy gdzie między wami widzę obrazę boską, a, osobliwie też to przemierzłe pijaństwo, co najwięcej ludzi do piekła zawiodło.

Aż tu niedawno wypadło mi jechać przez tę wieś Trzebunię. Nadjeżdżam, karczma stoi gdyby jaki dwór, okna się w niej szklą , a mnie aż coś strzęsło; aż tu zbliżam się, patrzę, a tu moja karczma w dzień, jak rybie oko, stoi sobie zamknięta na kłódkę, bo się żaden karczmarz na nią nie zerwie, bo wie, że w tej parafii nie piją, to tu nie ma co robić.

Oj dopierom się też ucieszyła, ażem do razu do Najświętszej Panienki Zdrowaś Marja zmówiła – i wnet sobie pomyślałam, że ja o tej parafii dam wiedzieć ludziom, -aby sobie to mieli za piękny przykład.

Ludka z Myślenic

Artykuł „Poczciwa i trzeźwa gromada" zamieszczony 1 stycznia 1863 r w czasopiśmie wydawanym we Lwowie, opisuję przemianę trzebunian i tym samym zachęca innych czytelników do trzeźwości. Silne zabarwienie moralizatorskie było charakterystyczne dla prasy dziewiętnastowiecznej skierowanej do chłopów, zwłaszcza po rabacji galicyjskiej.

Co słychać w Galicyi

Otóż post już nastał po zapustach, których tu tego roku dla smutnych czasów nikt nie przepędzał tak wesoło jak po inne lata. Lud już przyszedł do tego poznania miłości bliźniego, że nie podoba się to Panu Jezusowi, jeżeli wiemy o nieszczęściu i krwi przelewie braci naszych i bliźnich naszych, i o ucisku nawet wiary naszej, a my byśmy na to nie dbali i weselili się. Osobliwie u nas w Galicyi , co z jednej strony tak blisko nieszczęsnej wojaczki, braci Polaków z Moskalem, a tam znowu w Niemczech w Szlezwiku leje się także krew dzieci Galicyjskich w wojskach cesarskich Austryi. O nam też jeno w Galicyi post i modlitwa ciągła do Pana Jezusa, przystoi, bo pokutą i modlitwą przebłagamy Boga Miłościwego, aby na przyszłość, takie nieszczęście od nas oddalić raczył.

Śliczny przykład powiemy wam tu takiej prawdziwej chęci ku dobremu, ku miłości bliźniego, ku oświacie, i ku zgodzeniu się z teraźniejszym smutnym czasem, o jednym w powiecie Myślenickim góralu, który to czyn dla tego, że piękny i wart uznania i pochwały , całego kraju, wypiszemy wam go tu, jako śliczną rzecz w Galicyi.

W ostatnich dniach zapustu, przyszedł Góral ze wsi Trzebuni de Myślenic, do takiego miejsca, gdzie ludkowi prostemu dają przerozmaite pożyteczne i pobożne książki i gazety do czytania. Otóż on Góral, począł okrótnie prosić, aby mu też co dużo dali, albo Dzwonków, albo książek do czytania. A gdy się go zapytali, dlaczego dziś jeszcze gorliwiej doprasza się o książki jak kiedy indziej, to on odrzekł: „ Widzicie panoczki, że to jest rzecz takowa: wydaję w tych dniach córkę za mąż, będę wyprawiał wesele, o to i chce moim weselnikóm zrobić już największą uciechę jaką mogę, a ta będzie, jak sobie weselniki koło stołu zasiędą, a jeden pocznie im czytać co z książki i z Nowinek, a to oni będą woleć, niż muzykę i pijaństwo; ku czemu teraz smutne czasy. Tak powiedział przykładny, i rozumiejący co dobre gospodarz i dlatego wam tu o nim piszemy, abyście ludzie kochani, w podobnych okazyach przykład z tego brali i naśladowali, takich mądrych, i oświaty, a nie pijaństw żądnych gospodarzy.

Ta dydaktyczna opowiastka o góralu z Trzebuni ukazała się w czasopiśmie „Nowiny ze świata" z dnia 1 marca 1864 r. (w trakcie powstania styczniowego), redaktorem i wydawcą czasopisma był Roman Kieres.

U wiejskiego dygnitarza

opowiadanie J. S. Płatkowskiego

Przed chatą poszytą słomą, na „pogrudce", grzejąc się do słonka, siedział góral od Myślenic i spożywał „jurzynę").

Kapelusz zatłuszczony, ozdobiony białemi muszlami, położył koło siebie na ziemi, albowiem w tak uroczystej chwili nie wypadało mu go mieć na głowie, i ująwszy w palce kawałek wędzonki ogryzał mięso koło kostki i przekąsał czarnym chlebem, którego kromka spoczywała mu na kolanach obok zatłuszczonego papieru i nożyka składanego, zwanego „żydkiem".

Białe jego ostre zęby, pracowały wytrwale, a od tłustości z wędzonki zajadającemu świeciła się cała broda, i wargi porosłe szczeciną golonych wąsów.

Przeszedł spory kawał drogi i obecnie „futrował się", aby znowu nabrać nowych sił, w miejsce tych, jakie postradał w forsownym marszu. Pochodził ze wsi Więciórki, która kryła się za górami, a przybył do kancelarji gminnej w Trzebuni, po świadectwo moralności, które potrzebował do „żyniaczki". Ponieważ wsie te miały wspólnego pisarza gromadzkiego, który stale przebywał w Trzebuni, góral musiał aż tutaj odbyć wędrówkę po ów dokument niezbędnie potrzebny.

Przybył i zastał chatę zamkniętą. Pan pisarz gdzieś w urzędowym charakterze bawił poza domem; żona jego i domownicy wyszli na robotę w pola i jeszcze nie wrócili. Od sąsiadów dowiedział się, że pana pisarza ino widno, więc siadł przed domem i czekał.

Wędzonkę już spożył, i z kromki chleba nie pozostało ani okruszyny, a oczekiwanego jak nie było, tak nie było.

Jacentemu (bo takiem imieniem obdarowano „gorolicka" na chrzcie świętym), „chepło się" kilka razy przy procesie trawienia, czas dłużyć mu się już zaczął, papierem zatłuszczonym — w który owiniętą była wędzonka — zaczął maścić sobie włosy na głowie, aby się bardziej lśniły, resztą tłuszczu wytarł sobie potem na nogach chodaki, aby je zabezpieczyć od wilgoci, a pana pisarza jak niema, tak niema.

Powstał, nakrył głowę kapeluszem i zaczął wyzierać poza węgieł domu czy oczekiwany nie przychodzi.

— *Kwała Bogu! lezie przecie!* — powiedział do siebie.

Pan pisarz Trzebuni, Więciorki i Zawadki, trzech wsi z sobą sąsiadujących, Sebastjan Słowik, podpierając się laską, kroczył drogą ku swej chacie.

Albo buty miał ciasne na nogach, albo w głowie parę kufli piwa więcej niż wypadało, bo stąpał ciężko i zygzakowato. Co chwila przystawał na drodze, stukał laską w jeden punkt po kilka razy, i z ogromną powagą rozprawiał ze sobą.

— *Jo cię psiokrzęść naucę!* — Tem zdaniem kończył zwykle dyskurs, a potem postępował dalej.

Zbliżywszy się o kilkanaście kroków, dostrzegł że go ktoś oczekuje, i już bez przystanków szedł przed siebie.

— *Pokwolony Jezus Krystus! Witojcie panie pisarzu!* — zagadnął go Jacenty, uchylając kapelusza.

Pan Słowik z powagą, jaka mu się należała, zwrócił oczy ku interesantowi. Na pozdrowienie nie odpowiedział, bo figura Jacentego wydała mu się w stosunku do jego osoby za marną, tylko jedną ręką ujął się pod bok, drugą oparł na lasce poza plecami, i „zrobił minę" ogromnie urzędową.

— *Cego tam?*

— *Przez urazy pana pisorza, przysedek piknie pytać o świadectwo moralności.*

— *Co?!!!*

— *Toli, kcę sie żynić z jedną dziopą az na Obidowej, i jegomeś kozali mi — jacy — przynieś świadectwo moralne, jako iż jezdem z tek stron, i żyję jak się patrzy, i niema na mnie żodne skazy, ani na tele, co corne za pazurem.*

— *Świadectwo moralności!* — zawołał pan Słowik dyszkantem, niczem głos klarnetu, w którego gardziel przy zawilgoceniu od deszczu woda się dostanie. — *A wiesz ty chłopie, że takie świadectwo to jest gruby kawołek ?*

— *Dyć miarkuję i to, ale ze żywot sprawiedliwie prowadzę, toć myślę...*

— *Głupiś capie z twojem myśleniem. Co innego nowóz na tokach wozić, albo koniowi siecki nasypać do kobiołki, a co inksego dokoment urzędowy w ten deseń, jak świadectwo moralności! — Bedzies go widział, az sie ociepli!* — Wygłosiwszy tą pogróżkę splunął przed siebie, machnął laską, zakołysał się na nogach, którym podporę w ten sposób odjęto, i zataczając się na boki posunął ku chacie.

— *O... o! panie pisorzu!* — zaczął Jacenty labidzić — *dydek też nicego nie krzyw, a jak mi ten papier docie, to sie bede znoł na rzecy, i nie bede kcioł go dostać za darmo.*

Na takie dictum złagodniał pan pisarz. Przystanął na moment, rzucił badawczym wzrokiem na Jacentego, a widać przekonał się, że na spełnienie obietnicy może liczyć, bo nieco spuścił z tonu.

— *No! zobacymy to. Pódź do kancelaryje!*

Przyszedłszy przed dom, pan pisarz sięgnął ręką gdzieś ku strzesze, wyjął stamtąd klucz przymocowany do klocka, otworzył nim kłódkę do sieni, a z tej do izby, w której mieściła się kancelarja urzędu gminnego, salon przyjęć, oraz mieszkanie pana Słowika z familją, wreszcie kurnik, ale tylko w porze zimowej, bo latem trzymał drób na stryszku, nad chlewikiem. Jacenty podążył za nim.

Wokoło ścian stały łóżka, zasłane piernatami i poduszkami o barwach liljowych „w poszecki", pod oknem opierał się o ścianę stół na krzyżowych nogach, a parę ław drewnianych do pełniało umeblowania kancelarji.

Przez szybki małe, upstrzone przez muchy, sklecone z kawałków porozbijanych szkieł, światło skąpo w padało do wnętrza, a niski pułap i ściany okopcone od dym u dość nieprzyjemne sprawiały wrażenie.

Pan Słowik przestąpiwszy próg tej izby, najprzód ustawił swą laskę koło pieca, potem zdjął z siebie kożuch, w który był przybrany, natomiast zawdział kiklę z białego płótna, której cały przód przyozdobiony był plamami atramentowem i różnej wielkości i kształtów, i w tym stroju urzędowym , w baraniej czapie na głowie — zatoczywszy się parę razy — zasiadł do stołu.

Jacenty z przynależnem uszanowaniem stał przy drzwiach, miętosząc kapelusz w garści. Z szuflady wyjął pan pisarz okulary, zakończone obustronnie sznurkami, fucząc i stękając zawiązał je z trudem z tyłu głowy i osadził na nosie, a potem z tą oznaką władzy, ugodził wzrokiem w interesanta.

— *Godoj teroz co kczes?*

— *Toli, przez urazy pana pisorza, przysedek po świadectwo moralne (d)lo księdza w Obidowej kuli żyniacki.*

Kapeluszem skłonił się pisarzowi do nóg.

— *Hm! to jest gruby kawołek. — Dużo mocie pieniędzy?*

— *Dziękować Panu Jezusowi, mom ta pore centów przy sobie.*

— *Co?!* — wrzasnął oburzony pan Słowik — *pore centów!! wynoś mi sie chamie za drzwi w te pędy!*

— *Przez urazy — pieknie pytom — a kielaz potrzeba* — na to mówięcy, — *bo cłowiek chocioz chudobny, ale zawse sie ta pore „szóstek" u niego uzbiero.*

— *Głupiś chłopie jak but! Stąpel na świadectewo kustuje korune, a co do dokumentu, to zoleży jak bedzie pisany. Świadectwa są i tańse i drozse, to zoleży od różnek okolicności.*

— Oj, raty, przeratyl nigdyk sie nie spodziwoł ze to jenterys taki kostowny. — Możeby półtora koruny wystuparcyło ?

— Głupiś chłopie z twojemi półtorakoronami! Stąpel kostuje osobiście, a za papier trza zapłacić znowaś osobiście, za jatrament i pióro znowaś osobiście, a za koncept i pisanie osobiście.

Jacenty począł desperacko skrobać się po głowie.

— Kczes mieć świadectwo napisane na całym arkusie, — zapłacis wincy. Kczes mieć go na półarkusie, — bee kost mnijszy. Kczes pisane jak sie patrzy: literami jak durk — musis kosta wsyćkie pieknie do imentu zwrócić, a kczes go mieć ladajakie, bedzies go mioł tani. — Teroz wybiroj roz — dwa, bo jo nie mom casu wiele z tobą cymbole deliberować.

Jacenty sięgnął ręką za nadrę, wyjął z za pazuchy szmacinę i począł rozwiązywać węzełek z pieniądzmi. Guzdrał się i guzdrał, wreszcie położył przed pisarzem koronę i parę niklowych halerzówek.

— Tyle tez przyjmijcie, bardzo piknie wos pytom, bo mnie na wincy nie stać. — Niby całując pana pisarza w ramię, utarł sobie nos w rękaw jego munduru urzędowego. Pan Słowik przeliczył halerze i nasrożył minę.

— Za pindziesiąt halirzy to ci mogę napisać świadectwo, ale na tym papierze, w któren był tabak owinięty, abo z jedny strony juz zapisany, i to ołówkiem, bo za tele to sie nie wróci mój koszt jatramentu i pióra, rozumies?

— Przez urazy pana pisorzo, mocie haw jesce „szóstkę", a napiszcie przecie jakie godne świadectwo, żeby spiłowało. — Położył na stole jeszcze dziesięciohalerzówkę.

— Na gorzołe, abo na inkse biśtyfranty to piniądze mocie, ale jak przydzie wynagrodzić ciężką procę kalkulanta kancelaryjnego, to wtedy sie skurcocie i radzibyście za lada bzdurę żeby wom na pergaminie dokumenta wypisywać, bestialskie kudronie, wy! — Jo sie z tobą świndrygo targowoł nie bede, bo mój honur na to nio pozwolo, ale przydzie koza do woza i powie: meee...

— O, raty boskie święte! panie pisorzu, dyć tez zmięknijcie kapkę, bok chudopachołek, i straśnie cłekowi trudno o ten grajcor, ale jak sie telko ożynie i przyde do jakiego grosa, to nie bede żałowoł, i piknie worn syćko wynagrodzę.

— Ehe! bedzies mi tu lukrowoł obietnicami, myśląc, że mnie tem przekupis. Cekoj tatka do latka, az kobyła zdechnie. — Zreśtą beemy to widzieć.

Przysunął ku sobie flaszkę z atramentem, wyjął z szuflady stalówkę, koniec której z zaschniętego atramentu przyozdobiony był w kulkę smaru, gdzieś w szufladzie wyszukał zużyty stępel i skrawek papieru, liznął językiem po znaczku, przylepił go gdzie należy, udarł w niego pięścią, aby się lepiej trzymał, aż szyby zabrzęczały, i machając ręką, zabrał się do pisania.

— Jak się nazywosz?

— Jacenty Wnąk.

— Bez „ą', cy „o' i ‚n ' ?

— Jak godocie? nie miarkuję.

— Całuj psa w nosi Niema z tobą co wiela godać, bo widzę żeś ruła do nicego. — Kiela mos lot?

— Na Wnibowzięcie obróciło mi sie na trzeci po półkopku.

— Byłeś kiedy żyniaty?

— Jako żywo. Ani odrobiny. Kawalir od urodzynio.

— Dzieci nie miołes?

Jacenty się zamyślił głęboko.

— Cheba nie.

— Prowde godos?

— Sumiennie! — Uderzył się w piersi, aż jękło.

— Beemy to widzieć. — Kaś sie urodziuł?

— Je w chaupie.

— Głupiś! W wtórej wsi cie sie pytom ?

— Je dyć w Więciórce.

— I tam miskos?

— No, jużci.

— Z cego żyjes?

— Ze zorobku.

— Ale jakiego?

— Dyć kole grontu robie, i jak ta na wsi, wiecie...

— Do spowiedzi chodzis?

— Chodzę.

— Rozgrzysenieś dostoł?

— Je jakże.

— Koranyś był?

— Jako żywo.

— Prawdę godos?! bo tu śpasów niema. Godoj jak i co, bo bee źle.

— Nibe, o co pytocie?

— Koranyś by ł?!

— Ko... ko... Niby w skole?

— Jo ci dom kudroniu skołę! Ty mnie nie zagaduj, ino godoj cyś był sądownie korany?

— Hano! jużci... po prowdzie powiedziawsy, ukorali mnie, ale niesuśnie.

— Za co?

— Ano, za bitkę.

— Ileś dostoł kozy?

— Śtyrnoście dni, ale...

— A wincy?

— Jesce wincy?

— Ty mi sie nie wymiguj, ino godoj prowde.

— Toli godom, że i za pijaństwo.

— Wielaś dostoł?

— Trzy dni hareśtu.

— A jesce za co ?

— No... no... no... i za Marynę.

— Co zaś?

— Toli zek Marynie od Munioka ze śpasu krwie kapkę z nosa puściuł, całkiem niesprawiedliwie bez złość zasądzili mnie psieduse na osiem dni, ale to psed dwiema rokami.

— Ale więcej za co jesce?

— Wincy już ani krzty. Sumiennie godom.

— Można ci wierzyć?

— Dyć jak się submituję...

— No, to nic; bo te kory honorowe sie nie licą, telko za kradzież, cudzyłostwo..

— E! próżnioki godocie; z tem jo nie narobią...

— No, to dobrze. — Świadectwo ci dom pikne, ale mos mnie na wesele zaprosić, a ten tydzień jesce przyniesies mi słupek kalmusowej.

— Dobrze, dobrze, — panie pisorzu. Niekze bedzie i tak.

Skłonił się głęboko kapeluszem.

— A nie zabocys?

— Jako żywo.

— Zróbże se gajdo węzełek na chuścinie.

— No, dyć dobrze.

Jacenty robi guz na chustce, którą wyjął z zanadrza. Pan pisarz pisze, wodząc ręką zamaszyście po papierze. Co parę liter naskrobie, pióro musi nurzać w kałamarzu, więc niesporo mu to idzie.

— Mnie sie widzi, że jatrament wysed. — Obserwuje flaszeczkę pod światło.

— Tako myślę i jo.

— Dejno haw kapkę wody z kotła! Hań mos gornuś! zacerp!

Jacenty w tej chwili podążył gdzie mu w skazano, naczerpał wody z kociołka i przyniósł Słowikowi. Ten nalał trochę wody do flaszeczki, palcem w niej otwór zapchał, zakłócił mocno, i gdy w kałamarzu woda poczerniała, zaczął znowu pisać.

— *Świadectwo ci takie wyrżnę, że twój jegomeś z Obidowy zdębieje, jak przecyto. Rozumiołeś?*

— *Coby nie.* — Jacenty znowu uciera nos w rękaw munduru urzędowego u Słowika.

— *Bardzo piknę świadectwo dostaniesz,* — powtarza pan pisarz, prowadząc ręką po papierze ; — *rodzonemu ojcubym lepszego nie doł.— Ale kalmusówka bedzie? co ?*

— *Bedzie.*

— *I na wesele mnie bedzies prosiuł?*

— *Coby nie.*

— *I węzełekeś se zrobiuł?*

— *Zrobiuł.*

Za chwilę:

— *Teroz słuchoj cok ci napisoł:*

„Świadectwo moralności! — Zwierzchność gminno z wsie Więciorki zaświadco sumiennie i sprawiedliwie jako Jaconty Wnąk, grontownik, w stanie wolny, w Więciórce spłodzony, tutok 33 roki żyjący, do spowiedzi chodzęcy, rozgrzysenie mający, małżeńskiego stodła pragnęcy, z procy rąk się utrzimujęcy, jest cysty jak śkło albo porcynella, i prowadzi się do imentu moralnie, winc może sie żynić kiej kce wedle wselkich praw Jadamowych i kościelnych, — w dowód cego podpisujemy sie wlasnoręcnie przy wyciśnieniu piecontki urzędowy.

Więciorka, 18 października 1913.

(krzyzyk) Jon Mastela, wójt,

(krzyzyk) Symon Wątor, przysiązny,

(krzyzyk) Jakób Duda, przysiązny,

nieumiejęcych pisać podpisołem

Sobestyjon Słowik, pisorz gminny."

— *Słysołeś ?*

— *O! raty! anik sie nie spodziol takiego piknego świadectwa.*

Skrobie się ukontentowany po głowie i całuje pana pisarza w rękaw.

— *Jesce ci piecątke przywalę.*

— *O raty!*

— *Bedzies wiedzioł głąbiu, że jakek dobry, to mnie do rany prziłożyć można.*

— *O! ratyl*

— *Ale mi kalmusówki przyniesies?*

— *Przyniese.*

— *I na w esele zaprosis?*

— *Zaprose.*

— *A węzełek se zrobiuł?*

— *Zrobiuł.*

— *No, to mos kudroniu świadectwo i chyboj za drzwie, a pamiętoj sobie, żek ci go napisoł z proste życzliwości, bo to coś mi haw końduś kapnuł, to tele, co nic. Chyboj po kalmusówke i żyń się!*

Opowiadanie Jana Szczęsnego Płatkowskiego (pseud. Pobratymiec), opublikowane przez Wydawnictwo Książek Zajmujących, w tomie „Dziwna przygoda", seria „Książki zajmujące" T. 6, Przemyśl 1925 r.

Spis treści

Wstęp 5

Powstanie wsi Trzebunia 7
Wielka powódź 17
Kalwaria Trzebuńska 23
Wołosi 28
Kamieniołom 31
Tomasz Bylica *alias* Pierdzioch 34
Baja z owcy i wilk 38
Kościelne wartowanie 41
Diabelski Głaz
(z legend Podhala) 46

Anegdoty Antoniego Kiełbusa 51
Czy Ci się samica okociła? 51
Despetny Krzesnoojciec 53
Chowajcie narzędzia,
bo wom krzesnoojciec schowo 54
Łapanie wiewiórki 54
Chłodzenie Zacierki 55
Żonie też trzeba umilić życie 56
O Michale Nieciągu 56
Jak nawrócić chłopa? 57
Jak się chłop ocielił 61
Stryjo matka!
Do kościoła my wjechali 62
Szabrowniku – Mesjasz się rodzi.... 64
Odyć Kaśka bo se łocy wywrócis 66
Franuś – już w życi! 66
Geneza weekendu 67

Kliszczackie Bajania 69
Jakzem to roz pojechoł z tatusiem
z drewkami do Krakowa
– godka Danuty Oskwarek 69
Co i ka strasyło w Trzebuni
– godka Grzegorza Ostafina 75
Trzebunianie na odpustach
– godka Doroty Lech 78

Zrenkowiny, cyli jak to downi z żeniacką bywało – godka Krzysztofa Bednarza 85

Słowniczek 88

Wieści ze świata 89

Piękne przykłady. Poczciwa i trzeźwa gromada 89

Co słychać w Galicyi 91

U wiejskiego dygnitarza – opowiadanie J. S. Płatkowskiego 92